

INSPIRACJA  
GŁOŚNEGO  
FILMU

WIL HAYGOOD  
KAMERDYNER

PRAWDZIWA HISTORIA  
CZARNEGO SŁUŻĄCEGO  
BIAŁYCH PREZYDENTÓW



WIL HAYGOOD

# KAMERDYNER

ŚWIADEK HISTORII

Przełożyła ALEKSANDRA AMBROS

WYDAWNICTWO MARGINESY

## **Pamięci Laury Ziskin**

## SŁOWO WSTĘPNE

**Tło filmu** *Kamerdyner* stanowią wydarzenia historyczne, ale bohater tytułowy i jego rodzina są kreacją. Odkąd przeczytałem w „Washington Post” artykuł Wila Haygooda o Eugenie Allenie, jestem niezwykle poruszony historią jego prawdziwego życia. Pamiętam, jak Wil Haygood powiedział mi, co zainspirowało go do napisania tego artykułu. W szczytowym momencie kampanii Obamy chciał znaleźć kamerdynera Afroamerykanina, który ruch praw obywatelskich obserwował na własne oczy zarówno z wnętrza, jak i na zewnątrz Białego Domu. Wil zapukał do drzwi pana Allena i został powitany przez skromnego i eleganckiego mężczyznę oraz jego uroczą małżonkę, którzy poświęcili mu popołudnie, snując wspomnienia i pokazując cenne pamiątkowe trofea umieszczone dyskretnie na ścianach piwnicy.

Kiedy tylko przeczytałem napisany przez Danny’ego Stronga scenariusz *Kamerdynera*, wiedziałem, że muszę ten film wyreżyserować. Natchniony filmami typu *Przeminęło z wiatrem*, myślałem, że jeśli uda mi się uchwycić choćby połowę tego, co tamten film, dotknę czegoś magicznego. Ale – co najważniejsze – dostrzegłem sposób podania tej opowieści: skontrastuję oto historię tamtych czasów, szczególnie walkę o równe prawa obywatelskie, z czymś, co stanowić będzie osnowę filmu, z ewolucją stosunku ojciec–syn. Podczas gdy ojciec bezpośrednio obserwował rolę, jaką kolejni prezydenci odgrywali w wytyczaniu kształtu praw obywatelskich, syn buntował się przeciwko temu, co uważał za służalczość ojca. Pełen agresji, przeniósł swoją walkę o równość na ulicę, gotów, jeśli trzeba, poświęcić dla niej własne życie. I wreszcie jest to historia pojednania – naszego narodu, a przede wszystkim ojca i syna, kiedy to każdy z nich nauczył się szanować doniosłą i istotną rolę, jaką drugi odegrał w procesie zmieniania historii. To jest emocjonalna i uniwersalna kotwica tego filmu i temat, który z całych sił pragnąłem zgłębić.

I chociaż ojciec i syn oraz reszta rodziny to postacie fikcyjne, wykorzystaliśmy pewne niezwykle chwile z prawdziwego życia Eugene’a i przenieśliśmy je do naszego filmu – jak na przykład tę, kiedy zboleła Jacqueline Kennedy ofiarowuje kamerdynerowi jeden z krawatów zamordowanego prezydenta, czy tę, gdy Nancy Reagan zaprasza kamerdynera z żoną na oficjalny obiad. Eugene Allen był człowiekiem niezwykłym i jestem szczęśliwy i wdzięczny Wilowi Haygoodowi, że starczyło mu pasji i uporów, by go odnaleźć i tchnąć życie w jego historię tym artykułem, a także niniejszą książką, która przekazuje tę historię obszerniej.

*Lee Daniels*



# KAMERDYNER

## DROGA KAMERDYNERA

**Gdzieś tam** był. Teraz musiał już być człowiekiem starym. Przepracował dziesiątki lat w Białym Domu. Może zszedł z tego świata w zupełnej samotności, co zostało odnotowane jedynie drobną wzmianką. Jeśli jednak tak się stało, nikt nie potrafił tego potwierdzić. Może szukałem ducha. W istocie szukałem kamerdynera. Nie byłem w stanie zaprzestać tych poszukiwań.

Tak jest, kamerdynera.

To taka staroświecka, anachroniczna nazwa – „kamerdyner”. Ktoś, kto ludziom służy, kto widzi, ale nie widzi; ktoś, kto umie odczytywać nastroje tych, którym służy. Postać w cieniu. Kinomani zakochali się w kamerdynerze jako postaci z filmu *My Man Godfrey* z 1936 roku [polski tytuł: *Mój pan mąż*], w którym William Powell grał rolę kamerdynera w zwariowanym domu. A niedawno kamerdyner oraz inni aktorzy grający służących zyskali popularność w bardzo lubianym serialu telewizyjnym *Downton Abbey*. Mój kamerdyner był dżentelmenem. Nazywał się Eugene Allen. Przepracował trzydzieści cztery lata w rezydencji przy Pennsylvania Avenue 1600 w Waszyngtonie, którą świat zna jako Biały Dom.

Wreszcie po rozmowach z dziesiątkami osób na obydwu wybrzeżach naszego kraju, po dziesiątkach telefonów odnalazłem go. Był jak najbardziej żywy. Mieszkał wraz z żoną Helene na cichej ulicy w północnym Waszyngtonie. Eugene Allen pracował jako kamerdyner za administracji ośmiu prezydentów, od Harry’ego Trumana do Ronalda Reagana. Był świadkiem historii nierozpoznanym przez nią.

– Proszę wejść – powiedział, otwierając drzwi swego domu w ów zimny listopadowy dzień 2008 roku.

Zdążył już zażyć swoje poranne leki. Zdążył podać śniadanie żonie. Liczył osiemdziesiąt dziewięć lat i miał właśnie otworzyć przede mną nowe drzwi do historii.

Oto jak wyglądała opowieść kamerdynera z Białego Domu, który zaistniał w gazetach na całym świecie, gdy moja relacja ukazała się na pierwszej stronie „Washington Post” trzy dni po historycznym wyborze 4 listopada 2008 roku Baracka Obamy na prezydenta.

**Wszystko zaczęło się** w nocnych ciemnościach latem 2008 roku w Chapel Hill, w Karolinie Północnej. Północ nadeszła i minęła, przemówienie było podsumowywane, analizowane i opisywane. Kolejny rokujący nadzieję demokratyczny kandydat na prezydenta żarliwie przekonywał tłum studentów i wyborców, dlaczego powinni na niego głosować. Na kampusie Uniwersytetu Karoliny Północnej ludzie obsiedli krokwie areny znanej jako Kopała Dziekańska. Emanujący spokojem i pewnością siebie kandydat szedł po zwycięstwo. Publiczność była wielokulturowa, młoda i stara. Z głośników płynął natychmiast rozpoznawalny chrapliwy głos Stevie’ego Wondera. Wśród starszej publiczności byli weterani ruchu praw obywatelskich: lata sześćdziesiąte, segregacja rasowa, ci dzielni biedacy zastrzeleni i grzebani na całym Południu. I oto przed zgromadzonymi stał kandydat w koszuli z podwiniętymi rękawami, trzymający mikrofon.

– Kandyduję z powodu, który doktor King nazwał gwałtowną potrzebą chwili bieżącej, bo wierzę w coś takiego, jak możliwość przegapienia szansy, a ta godzina, Karolino Północna, właśnie wybija.

Te słowa miały wydźwięk kaznodziejski, rewolucyjny i ówczesny senator Barack Obama bez wysiłku poderwał tłum na nogi. Okrzyki i oklaski wskazywały na jego zwolenników.

Jednakże to było Południe, on był czarny, Biały Dom wydawał się fantastycznym marzeniem. Historia i demony czaiły się wszędzie, chociaż kandydat wydawał się na to nieczuły.

Byłem jednym z dziennikarzy relacjonujących tej nocy kampanię Obamy dla „Washington Post” i przez siedem dni latałem w tę i w tę z jednego stanu do drugiego. Po wiecu w Chapel Hill i przemówieniu – oraz przeprowadzeniu w środku wywiadów z kilkoma osobami – miałem wyjść i udać się do autobusu, który zabierał dziennikarzy z powrotem do hotelu. Nocne powietrze było słodkie i upajające. Nagle usłyszałem coś przedziwnego: płacz, i to dochodzący gdzieś z bliska. Odwróciłem głowę i usiłowałem przeniknąć wzrokiem ciemność. Tuż obok siedziały na ławce trzy panienki, studentki. Podeszedłem do nich i zapytałem, czy coś się stało.

– Nasi ojcowie nie rozmawiają z nami – wykrztusiła jedna z nich wśród łkań – bo popieramy tego człowieka.

Wszystkie były na wiecu w Kopule. Koleżanki mojej rozmówczynie przytaknęły, spoglądając zaczerwienionymi oczami. Ta kontynuowała:

– Nasi ojcowie nie życzą sobie, żebyśmy popierały czarnego, ale nie zdołają nas powstrzymać.

To mną wstrząsnęło. Usiadłem, by porozmawiać z nimi przez chwilę. Szlochy ucichły i na twarzach dziewcząt pojawił się wyraz otwartego buntu. Ignorowały swoich tatusiów, zamierzały brać udział w ruchu, który miał wprowadzić tego czarnego do Białego Domu. Może to było wyczerpanie, może roilem jakieś mrzonki, może ich łzy poruszyły mnie bardziej, niż zdawałem sobie sprawę. Ale tam i wtedy, w tych ciemnościach Południa – jakbym został kopnięty przez muła – powiedziałem sobie, że Barack Obama naprawdę wprowadzi się na Pennsylvania Avenue, do Białego Domu.

Po kilkunastu dniach od tej nocy w Chapel Hill oświadczyłem Steve’owi Reissowi, mojemu redaktorowi, że Barack Obama wygra prezydenturę, a ponieważ ją wygra, ja muszę znaleźć kogoś z epoki segregacji rasowej, znaleźć go natychmiast, żeby opisać, co ten nadchodzący doniosły moment w historii Ameryki znaczy dla niego. Powiedziałem, że chodzi mi o osobę, która pracowała w Białym Domu. Mój redaktor uniósł brwi. Nie wierzył, że Obama wygra, ale zawierzył mojej intuicji. Chciał, żebym uporał się z paroma zaległymi zobowiązaniami, a następnie udał się na poszukiwania owej widmowej osoby. Zastanawiał się, jak głęboko w przeszłość zamierzam sięgać.

– Mówisz o latach sześćdziesiątych?

– Jeszcze dawniej – odpowiedziałem.

Chciałem znaleźć kogoś czarnoskórego – mężczyznę lub kobietę – kto pracował i sprzątał w Białym Domu, kto zmywał tam naczynia, kto pił wodę z tych fontann TYLKO DLA KOŁOROWYCH w Ameryce czasów Jima Crowa. Nie obchodziło mnie, że wszyscy wokół nieustannie powtarzali: Ameryka nie wybierze czarnego prezydenta.

Czarny zatrudniony w Białym Domu w latach pięćdziesiątych? Pracownica w tamtejszej centrali telefonicznej oświadczyła, że mają zasadę niepodawania nazwisk byłych pracowników i że nie zna żadnego biura w Białym Domu, które dopomogłoby mi w poszukiwaniach. Reporter w swojej pracy zawsze natyka się na ściany, blokady dróg, powiedziałem więc sobie, że nie ma się czym przejmować. Poza tym miałem swojego informatora na Kapitolu, kogoś w biurze pewnego kongresmena, kto był skłonny mi pomóc. Niestety mimo wielu zabiegów tu i tam mój znajomy też nie mógł pozyskać dla mnie żadnej informacji. Inni wkrótce mieli mi do zaoferowania tylko puste spojrzenia albo długie pauzy w rozmowie telefonicznej. Żadnych nazwisk ani nawet tropów. I gdy zacząłem się już zastanawiać, czy taka osoba jest w ogóle do znalezienia, ktoś wspomniał o pewnej kobiecie z Florydy, która kiedyś pracowała w Białym

Domu i może coś o kimś takim wiedzieć.

Pani z Florydy, dawna pracownica Białego Domu, podała mi nazwisko.

– Gdyby umarł, słyszałabym o tym – powiedziała. – Ostatni raz widziałam Eugene’a Allena na Pennsylvania Avenue 1600, gdy wsiadał do taksówki. Był na spotkaniu w Białym Domu. Pracował tam wiele lat jako kamerdyner. – Nie wiedziała dokładnie ile.

Jeśli Eugene Allen jeszcze żył, trzeba było go odnaleźć. Skoro wsiadał do taksówki, kiedy moja rozmówczyni z Florydy widziała go po raz ostatni, to prawdopodobnie mieszkał w Waszyngtonie, Dystrykt Kolumbii, Maryland, Wirginia. Książki telefoniczne pełne były Eugene’ów Allenów. Po wykonaniu czterdziestu telefonów, nie natrafiwszy na poszukiwanego Eugene’a Allena, zacząłem wątpić, czy on rzeczywiście mieszka nadal w tej okolicy. Ludzie na starość zachowują się jak ptaki odlatujące na zimę do ciepłych krajów. Przeprowadzają się do Kalifornii, Arizony czy na Florydę. Ale też, oczywiście, umierają. Bezskutecznych telefonów przybywało.

– Halo, poszukuję pana Eugene’a Allena, który pracował kiedyś jako kamerdyner w Białym Domu. – Była to mniej więcej pięćdziesiąta szósta próba.

– Przy telefonie.

Podziemna kolejka dudniła pod powierzchnią Dystryktu Kolumbii. Kamerdyner dał mi wskazówki, jak dotrzeć do jego domu. Była to dzielnica robotnicza, w której w latach sześćdziesiątych miały miejsce rozruchy. Po drodze minąłem smażalnię ryb, domy modlitwy za sklepowymi sztyldami i sklepiki z odzieżą. Furtka przed domem kamerdynera była wyraźnie uchylona: oczekiwano gościa.

– Proszę wejść – powiedział Eugene Allen. Miał z lekka przygarbione plecy i poruszał się z nieznacznym grymasem bólu. Przedstawił swoją żonę Helene, spoczywającą w fotelu klubowym z laską na kolanach. Uśmiechała się ciepło. Mieszkali sami. Kiedy usiadł, oboje szybko mnie poinformowali, że chętnie ze mną porozmawiają, ale dopiero gdy skończy się ich ulubiony teleturniej *The Price Is Right*. Śledzili kolejne epizody w skupieniu, co jasno dawało mi do zrozumienia, bym nie ośmielił się przerwać; nie odzywałem się więc.

Na brzegu stołu leżało z pół tuzina magazynów ze zdjęciem ówczesnego senatora Baracka Obamy na okładce. Widać było, jak dumni są z jego kandydatury. Podczas gdy teleturniej migał na panoramicznym ekranie telewizora (prezent od ich jedyne dziecko, Charlesa, weterana wojny wietnamskiej, który pracował jako analityk w Departamencie Stanu), spostrzegłem na ścianie jedyną fotografię wskazującą na zatrudnienie w Białym Domu: Allenowie stojący z prezydentem i Nancy Reagan podczas jakiejś – chyba bardzo oficjalnej – uroczystości. Ciągle nie byłem pewien, dla ilu dokładnie prezydentów Eugene Allen pracował.

– Dla ośmiu – powiedział mi.

Ośmiu? Nie mógł nie zauważyć mojego zdziwienia.

– Zgadza się. Ośmiu. Zacząłem za Harry’ego Trumana i tak po kolei do prezydenta Reagana.

Zaczął mi opowiadać swoje życie. Urodził się w 1919 roku w Scottsville w Wirginii, na plantacji; dorastał jako „chłopak do wszystkiego” u białej rodziny. Przyuczili go do robót kuchennych i służył u nich do pełnoletności, zmywając naczynia i nakrywając do stołu. Nie było cienia goryczy w jego głosie, gdy opowiadał o swoim wychowaniu. Ale chciał jak Huck Finn wyruszyć w świat. Dotarł do znanego kurortu Hot Springs w Wirginii. Dzięki swoim wysokim kwalifikacjom otrzymał pracę kelnera.

W latach trzydziestych dzięki poczcie pantoflowej funkcjonującej między członkami kościołów szybko przybywało pracy dla Murzynów: bagażowi u Pullmana, boje w murzyńskich hotelach – to była awangarda, która uformowała trzon czarnej klasy pracującej i średniej. W Hot



Springs ktoś powiedział Eugene'owi o pracy w Waszyngtonie, w podmiejskim klubie golfowym. Allen słyszał o ważniakach i hojnych napiwkach w klubach golfowych. Zapakował więc walizki do bagażnika i wkrótce znalazł się w stolicy.

Wielki Kryzys przygniatał kraj jak ciężki kamień, ale on miał pracę w Waszyngtonie i lubił ją. Nosił dobre ubrania, kapelusze z miękkim rondem i dwukolorowe półbuty. (Na niektórych fotografiach z tego okresu siedzi na masce samochodu w szykownym garniturze i fedorze i wygląda jak milion dolarów, choć był do cna splukany). Pewnego wieczoru w 1942 roku poznał na imprezie towarzyskiej Helene, również świeżą mieszkankę Dystryktu Kolumbii. Jej krewni w Waszyngtonie przysyłali listy i czasopisma do niewielkiego miasta w Karolinie Północnej, gdzie się urodziła i wychowała. Chciała się wyrwać z Południa Jima Crowa. Zdeterminowana błagała ojca, by pozwolił jej żyć w tej opisywanej przez krewnych mekce. Choć na początku powiedział nie, prosiła go tak długo, aż wreszcie ustąpił. I teraz w Waszyngtonie podczas towarzyskiego wieczorku ona i Eugene przypatrywali się sobie i potrzęsali głowami przy dźwiękach muzyki – była pewna, że poprosi ją o numer telefonu. Trwała wojna i liczyła się każda chwila. Życie było tak nieprzewidywalne. Ale on okazał się zbyt nieśmiały.

– Wyśledziłam więc jego numer – mówi. Oboje chichocą.

Pobrali się rok po tym spotkaniu.

Do 1947 roku zaoszczędzili wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić dom na Otis Place w Waszyngtonie. Eugene pracował w klubie golfowym. Praca ta wymagała dyskrecji i gładkich manier, a on miał te cechy, co zwróciło na niego życzliwą uwagę polityków i bankierów należących do klubu. Pięć lat później, w 1952 roku, ktoś w klubie powiedział mu, że potrzebni są pracownicy do pokoju kredensowego w Białym Domu i że powinien tam pójść i porozmawiać z Alonzem Fieldsem.

– A nawet nie szukałem pracy – powiedział mi.

Czarnoskóry Fields awansował z kamerdynera do pozycji maître d' w Białym Domu. Pochodził z Indiany, szkolił się w Konserwatorium Muzycznym Nowej Anglii, mając nadzieję, że kiedyś będzie uczył. Gdy zmarł jego dobroczyńca, muzyczne marzenia się rozwiały, więc by związać koniec z końcem, pracował jako kelner. Dołączył do personelu Białego Domu za administracji Hoovera i przepracował tam dwadzieścia jeden lat, służąc czterem kolejnym prezydentom. Nie miał pojęcia, że siedzący przed nim człowiek, Eugene Allen, pobije jego rekord w liczbie prezydentów i przepracowanych lat.

Fields mówił Allenowi o prestiżu, z jakim wiąże się praca w Białym Domu, o tym, jak ceni się tu dyskrecję i jak ważne jest jej zachowywanie. Musiał dostrzec spokojną godność Allena, gdyż zatrudnił go do pracy w pokoju kredensowym. Początkowo pensja wynosiła dwa tysiące czterysta dolarów rocznie. W roku 1952 były to przyzwoite pieniądze. Helene, osoba żywiołowa, miała teraz czym się pochwalić: mąż pracował na Pennsylvania Avenue 1600, o czym szybko dowiedzieli się od niej sąsiedzi i członkowie ich wspólnoty kościelnej. Z pewnością dodało to rodzinie Allenów pewnej ważności.

Eugene przyznaje, że miał tremę, kiedy Fields przyszedł po niego któregoś dnia, wkrótce po tym, gdy rozpoczął pracę w Białym Domu. Fields poinformował go, że czas na spotkanie z prezydentem Trumanem.

– Niech pan po prostu słucha tego człowieka – poradził Truman Allenowi, wskazując palcem Fieldsa – a będzie pan bezpieczny.

Mijały lata. Eugene Allen awansował na pełnoprawnego kamerdynera. Dla uczczenia tej okazji, podobnie jak wcześniej innych, wydali z Helene małe przyjęcie w swojej suterenie, gdzie na dość pustych ścianach rzucał się w oczy wiszący w pobliżu baru czarno-biały portret Jackiego Robinsona. Na takie niewielkie przyjęcia przychodzili koledzy kamerdynery z żonami, sąsiedzi

i znajomi z kościoła. Podawano koktajle i towarzystwo mogło się wreszcie zrelaksować po całym tygodniu sztywnej etykiety. Goście przy karcianym stoliku i prowizorycznym barze domagali się choć strzępu informacji na temat tego, co dzieje się w Białym Domu. Eugene jednak zawsze trzymał język za zębami.

Teraz, po latach, jakie upłynęły od jego przejścia na emeryturę, Eugene Allen był bardziej otwarty. Przyznał, że nie przewidział, jak potoczy się historia w ciągu tych – w sumie trzydziestu czterech – lat spędzonych przez niego na Pennsylvania Avenue 1600. Wspominał uścisk ręki z każdym prezydentem, dla którego pracował, i jak nocował w Białym Domu, kiedy pogoda nie pozwalała mu wrócić do siebie. Wspominał loty Air Force One i szukanie dla dzieci wielkanocnych jajek. Opowiadał o wszystkich bankietach i lunchach w Białym Domu.

– Byłam tam, kochanie – wtrąca Helene.

Oboje się uśmiechają. Stare małżeństwo, stara miłość.

Podczas napiętych dni kryzysu, jaki spowodowała szkolna desegregacja rasowa w Little Rock, Eugene słyszał, jak prezydent Eisenhower spiera się przez telefon z gubernatorem Arkansas Orvalem Faubusem. Był bardzo dumny, kiedy Eisenhower wysłał wojska federalne, by chroniły czarnych uczniów. Był obecny, kiedy prezydent Kennedy musiał zapewnić ochronę Jamesowi Meredithowi na kampusie Uniwersytetu Missisipi po tym, jak uczelnia wyrokiem sądu została zobowiązana do zarejestrowania pierwszego czarnoskórego studenta. Teraz kamerdynerowi zdarzało się mówić o tych wydarzeniach częścię, ale wtedy, gdy Helene pytała go o szerzące się w kraju rozruchy na tle społecznym i rasowym i o reakcję na nie aktualnego prezydenta, któremu służył, Eugene przeważnie milczał.

Były i słodsze chwile. Allen był tam, w Białym Domu, w 1963 roku, kiedy prezydent Kennedy przewodniczył uroczystości w setną rocznicę Proklamacji Emancypacji. Ani Allen, ani inni kamerdynerzy nigdy nie widzieli tylu czarnych w Białym Domu – ponad ośmiuset krążyło po pomieszczeniach, wśród nich Langston Hughes i Sammy Davis jr. (Jeden z czarnoskórych gości zażartował, że człowiek czuje się jak w chacie wuja Toma). Wracając na chwilę do kuchni, by złapać oddech, Allen kręcił głową w podziwie nad postępem społecznym: sam urodził się na dawnych ziemiach Konfederacji, ledwie pięćdziesiąt cztery lata po zniesieniu niewolnictwa.

Dziś oczywiście wiemy, że era Kennedy'ego zakończyła się tragicznie. Prezydent został zastrzelony w Dallas. Eugene Allen wraz z pozostałymi zrozpaczonymi kamerdynerami oczekiwał powrotu do Białego Domu tych, którzy z nim pojechali. Pamięta Pierwszą Damę Jackie Kennedy w stanie bliskim katalepsji i cichutkie głosy dzieci pary prezydenckiej, co robiło szczególnie smutne wrażenie. Po przybyciu tego wieczora do własnego domu Allen poczuł, że musi tam wrócić; nie mógł spać. Zaczął przygotowywać się do wyjścia. Helene odradzała mu wychodzenie tak późno, po tak krótkim wypoczynku. Ale on się uparł. Wkładając w holu płaszcz, wybuchnął płaczem. Jego syn Charles powiedział mi później, że był to pierwszy i jedyny raz, kiedy widział ojca płaczącego. Istotnie Kennedy cieszył się wręcz ewangelicznym oddaniem czarnych Amerykanów.

Eugene Allen z bólem patrzył na Biały Dom pogrążony w tak czarnej rozpacz. Widać to było wszędzie: w pokoju kredensowym, w kuchni, w Zachodnim Skrzydle. Kennedy był prezydentem, który zaczynał przekonywać nieprzejednanych członków swojej Partii Demokratycznej z Południa do kwestii praw obywatelskich. Urządzał też spotkania w Białym Domu, na które zapraszano więcej czarnych niż kiedykolwiek przedtem. A teraz zginął z rąk jakiegoś strzelca.

Jednym z wyjątkowych talentów Eugene'a Allena – którego pozycja jako kamerdynera w Białym Domu wzrastała z każdą kolejną administracją – była zdolność improwizacji. W dniach, które nastąpiły po zamachu, chciał wnieść trochę otuchy do Białego Domu;

szczególnie martwił się o dzieci Kennedych, Johna i Caroline. Dawno nie było takiego powiewu młodości w Białym Domu, naród rozczulał się nad dziećmi, kiedy biegły do ojca i wpadały w jego ramiona. Eugene polecił szefowi kuchni przygotować trochę smakołyków: zamierzał wydać przyjęcie dla Johna i Caroline oraz ich małych przyjaciół. I oto wszystkie dzieci zasiadły wokół niskiego stolika, a kamerdyner, schylony, usługiwał im. Przynajmniej przez chwilę można było słyszeć kakofonię dziecięcych głosików piszczących radośnie. Nawet kamerdyner znalazł powód, by się uśmiechnąć.

Prezydenta Johnsona Eugene uważał za dzielnego człowieka, choć miał zastrzeżenia co do pewnej wulgarności jego języka. Tak, zdarzało się, wiele razy się zdarzało, że Eugene Allen chciał pójść wprost do prezydenta Johnsona i opowiedzieć mu o swoim chłopaku, Charlesie, który został wysłany do Wietnamu, który pocił się w ciemnej dżungli, który próbował przeżyć i przywieźć tyłek z powrotem do domu. Jednak Eugene Allen miotał się niczym łódeczka na wzburzonych falach: z jednej strony obawiał się, że wyrzucą go z Białego Domu za niesubordynację, a z drugiej – on i Helene niepokoiłi się o życie jedyne go syna, który walczył gdzieś na krańcach świata. Ojciec kamerdyner, obserwując, jak zmienia się historia, nie mógł powiedzieć słowa. Mógł tylko stać nieruchomo, kiedy Johnson rozmawiał ze swoimi błyskotliwymi „jastrzębiami wojennymi” – Robertem McNamara, McGeorgem Bundym i Deanem Ruskiem – i wrzeszczał, by wysłać więcej i więcej, i jeszcze więcej wojska. O prezydencie Richardzie Nixonie Allen powiedział tylko, że był bystry, nieco tajemniczy i trochę odległy – charakterystyczne cechy, które przyczyniły się do upadku Nixona.

Podczas weekendów w Waszyngtonie kamerdyner czasem grał w golfa na Langston Golf Course. Prowadziło to do pogawędek z prezydentem Fordem, który również był golfistą. Allen i Ford obchodzili urodziny w tym samym dniu.

– Dzisiaj są także urodziny Gene’a! – wołała Pierwsza Dama Betty Ford, kiedy wnoszono tort jako niespodziankę dla jej męża.

Natomiast ledwie Eugene włożył klucz do swojego zamka, Helene, wręczywszy mu urodzinowe prezenty, natychmiast dopytywała się, co pani Ford dała na urodziny prezydentowi.

W roku 1980, za administracji Reagana, Eugene Allen awansował na maître d’, stanowisko dające władzę nad kamerdynerami i pokojówkami w Białym Domu. (Przetrwał wielu innych kamerdynerów, dublując liczbę prezydentów, którym służył przyjmujący go do pracy Alonzo Fields). Allen, choćby nie chciał, musiał odczuwać napięcie w Reaganowskim Białym Domu związane z problemem apartheidu w RPA. Wielu czarnych Amerykanów z ruchu praw obywatelskich łączyło się z liberalnymi białymi – w tym sporą liczbą polityków republikańskich – w atakowaniu administracji Reagana za popieranie systemu apartheidu. Ale kamerdynerzy Białego Domu nie śmieli wkraczać w polityczne szranki. Pracowali, by poprawić byt swoich rodzin, i stawiali się do pracy codziennie. Przez cały ten czas – trzydzieści cztery lata i ośmiu prezydentów – Eugene Allen nie opuścił ani jednego dnia. Nawet podczas rozruchów w latach sześćdziesiątych, kiedy trudno było przejechać przez ulice Waszyngtonu, docierał do pracy – piechotą, jeśli nie dało się inaczej.

Pewnego popołudnia w Reaganowskim Białym Domu Eugene Allen ujrzał idącą w jego kierunku Nancy Reagan. Zbliżał się oficjalny obiad na cześć zachodnioniemieckiego kanclerza Helmuta Kohla. Pomyślał, że Pierwsza Dama chce, aby dopilnował ostatnich szczegółów. Tymczasem Nancy Reagan oświadczyła, że Eugene Allen nie będzie pracować przy obiedzie. Oślupiał. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, poinformowała go, że oboje – on i jego żona Helene – będą uczestniczyć w nim jako goście prezydenta, dla uczczenia dziesiątków lat jego służby Białemu Domowi i kolejnym prezydentom. Był głęboko wzruszony, prawie niezdolny się ruszyć. Wyobrażał sobie minę żony, gdy usłyszy, że idą razem na oficjalny obiad. Był pierwszym

kamerdynerem w historii Białego Domu zaproszonym na oficjalny obiad w charakterze gościa – niczym ambasadorzy i potentaci biznesowi.

Helene wspominała swoją treść przed zbliżającą się uroczystością, niepewność, jak się ubrać i jaką biżuterię założyć. Zwierzała się przyjaciółom ze swego zdenerwowania i zamęczała syna Charlesa rozterkami, o czym na miłość boską będzie rozmawiać. Nie skończyła przecież studiów. Wbrew jej obawom oboje z Eugene'em, wychodząc w ów wieczór z domu, wyglądali olśniewająco. Klejnoty Helene błyszcząły. Sąsiedzi spoglądali na nich szeroko otwartymi oczyma.

Tego wieczoru Eugene Allen wszedł do Białego Domu frontowymi drzwiami, a nie tylnym wejściem dla służby. Czuli się oszołomieni luksusem i splendorem.

– Piliśmy szampana – nie pierwszy raz wspominała żona kamerdynera. Ten wieczór pozostał żywy w ich pamięci.

Gdy to powiedziała, Eugene, bujając się w fotelu, uśmiechnął się szeroko: w końcu przez tyle lat dbał o zapasy szampana w Białym Domu.

Jak gdyby w poszanowaniu tego bardzo specjalnego wieczoru Eugene i Helene Allenowie mieli na ścianie tylko jedną fotografię, która nawiązywała do lat spędzonych w Białym Domu. Na tej fotografii widać, jak czekają w kolejce goście zaproszonych na ten oficjalny obiad, by wymienić uścisk dłoni z prezydencką parą. Plantacja, na której wyrósł Eugene, musiała wydawać się czymś z innego życia.

Szczerze mówiąc, gdy tylko wszedłem do domu Allenów, zdziwił mnie brak pamiątek z najważniejszych momentów jego kariery w Białym Domu. W Waszyngtonie ludzie oprawiają w ramki i rozwieszają najrozmaitsze zdjęcia i dokumenty.

Po paru godzinach mojej pierwszej wizyty, gdy zmęczyliśmy się rozmową i wspomnieniami, Helene powiedziała do męża:

– Teraz możesz mi pokazać. – I kiwnęła głową w moją stronę.

Eugene Allen wstał powoli. Poprosił, żebym udał się za nim z salonu do kuchni, gdzie zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Długą, kościstą ręką sięgnął do szlufki na pasku, u której pobrzękiwał pęk kluczy. Jednym z nich otworzył drzwi. Zastanawiałem się, po co ktoś zamyka drzwi do własnej piwnicy na klucz. I szybko pomyślałem, że okolica jest szemrana, a oni są starzy i mieszkają sami.

– Niech pan idzie za mną – powiedział. – I trzyma się mojego ramienia. Wyłącznik jest na środku piwnicy.

Zeszliśmy po skrzypiących schodach w głęboką ciemność.

– Proszę bardzo, tu jest wszystko – powiedział, a ja zacząłem rozglądać się po jasnym już pomieszczeniu, zdumiony tym, co widzę.

Imponujące, wspaniałe fotografie na ścianach przedstawiały Eugene'a Allena z prezydentem Kennedym, z prezydentem Eisenhowerem, z prezydentem Nixonem. Wskazał zdjęcie, na którym był z Sammym Davisem jr. Na drugim był on i Duke Ellington, a także inni kamerdynerzy. Pociągnął mnie w dalszy róg piwnicy.

– Ike namalował dla mnie ten obraz – powiedział. Były też oprawione listy, jakie prezydenci przesyłali mu na urodziny.

Usłyszeliśmy szuranie stóp po kuchennej podłodze.

– Pokaż mi nasze zdjęcie z Ellą Fitzgerald – zawołała do nas z góry Helene.

– Zaraz. Nie bój się, pokażę mu. Zaraz – odrzyknął kamerdyner.

Oczy mu błyszcząły, uśmiechał się, jakby nagle doceniając waleczność i upór, jakie charakteryzowały jego życie. Przesuwał przedmioty, żebym mógł lepiej widzieć. Były tam marmurowe popiersia prezydentów, dla których pracował, zdjęcia z oficjalnych przyjęć, gdzie

Eugene Allen krzątał się w tle. Na półce leżało kilka grubych na dziesięć centymetrów albumów. W środku znajdowały się najwspanialsze zdjęcia z przyjęć w Białym Domu, jakie kiedykolwiek widziałem. Zapalone świece niemal mrugały na stronicach. Były oprawione i podpisane listy od prezydentów do Eugene'a i jego żony. A także kilka pudeł starych numerów „Look” i „Life”. Helene, współkuratorka kolekcji, ze szczególną starannością przechowywała wszystko z Jackie Kennedy na okładce. Była to prawdziwa uczta dla oczu. Jasne, że piwnicę należało zamykać na klucz. Mieściły się w niej skarby, które prawdopodobnie pewnego dnia miały wyładować w muzeum. Życie przeżywane w przygniatającym cieniu władzy. Życie przeżywane wewnątrz Białego Domu w czasach wojny koreańskiej, zimnej wojny, desegregacji w szkole w Little Rock, obywatelskiego nieposłuszeństwa Rosy Parks, kryzysu kubańskiego, lądowania na Księżycu, integracji rasowej na Ole Miss [Uniwersytet Missisipi; przypisy w nawiasach – od tłum.], Wietnamu, zamordowania Medgara Eversa, Martina Luthera Kinga, Malcolma X i usunięcia braci Kennedych. A także afery Watergate. I dojścia do władzy George'a Wallace'a i Barry'ego Goldwata, dwóch ludzi powiązanych z ruchami politycznymi, które przerażały czarnych.

Allen podszedł do jednego ze zdjęć na ścianie i zmrużył oczy: była to wyblakła fotografia w kolorze sepii, jego z Ikiem w Gettysburgu, zrobiona, gdy Ike opuścił już Biały Dom. To były trwałe relacje. Trudno sobie wyobrazić, żeby niektórzy z prezydentów nie byli pod wrażeniem życia Eugene'a Allena, tego, jak trwał, nie powiększając szeregow bezrobotnych, jak umiejętnie lawirował wśród meandrów polityki kolejnych administracji. Dzieci kilku prezydentów wciąż miały go na swoich listach osób, którym należy wysłać karty świąteczne. Rozglądał się po tej piwnicy na wszystkie strony – to było centrum świata władzy i blasku, który go niegdyś otaczał.

Wreszcie pociągnął za sznurek wyłącznika i piwnica na powrót pogłężyła się w ciemności. Helene oczekiwała nas u szczytu schodów, oparta na lasce. Powiedziałem jej, że to, co zobaczyłem w piwnicy – jego życie, ich życie – absolutnie mnie oszołomiło.

– Mhm, mhm – mruknęła, kiwając głową.

W salonie czekało na mnie jeszcze więcej fotografii. Posypały się dalsze wspomnienia: jak Biały Dom przed brzaskiem przysłał pod ich drzwi limuzynę Lincoln, która zawiozła kamerdynera do Bazy Lotnictwa Wojskowego w Andrews, żeby mógł wsiąść na pokład Air Force One; jakiej trzeba było zręczności, żeby podać posiłek o najwyższym standardzie w samolocie mknącym po niebie z przywódcą wolnego świata na pokładzie. Proszę, balansuj tacą z kieliszkami wina! Nie pozwól, żeby sos spłynął z talerza! I na miłość boską, nie potknij się i nie wyłóż między przejściami. Oboje chichotali teraz w swoim ciepłym domu.

Helene miała własne specjalne wspomnienia. Zachowała wszystkie piękne suknie i wspaniałe kapelusze, które nosiła na przyjęciach w Białym Domu. Nie wyobrażała sobie, żeby oddać gdzieś te kreacje. Czasami prosiła Eugene'a, by zszedł do piwnicy po jeden z magazynów z Jackie na okładce. Przerzucała wtedy stronicę pod lampą i oboje dzielili się wspomnieniami z czasów Camelotu [pot. nazwa prezydentury Kennedy'ego].

Moja wizyta dobiegła końca. Wybory miały nastąpić za kilka dni. Łatwo dawało się wyczuć, z jakim przejęciem Allenowie – prowadzący skromne życie na tej zwyczajnej waszyngtońskiej ulicy – czekali, żeby zagłosować. Jako ludzie z Południa kiedyś nie mieli prawa głosu. I teraz wszystkie ich nadzieje i wspomnienia – o byciu kolorowym, następnie Murzynem, następnie czarnym, następnie adresatem epitetu padającego z za węgla, a teraz Afroamerykaninem – biegły ku jednemu kandydatowi, Barackowi Obamie. Jak gdyby kołysali Baracka Obamę na własnej piersi.

Wyszedłem i, oddalając się od ich skromnego mieszkania, czułem, że niewątpliwie mam do opowiedzenia wyjątkową historię. Prawdę mówiąc, gdy tylko doszedłem do rogu, miałem ochotę wrócić biegiem i błagać, żeby starannie zamykali tę piwnicę na klucz, żeby trzymali

swoje skarby bezpiecznie ukryte.

Przez cały ten weekend kraj się zastanawiał, zadawał sobie pytanie: Czy Ameryka wybierze czarnoskórego prezydenta? Członkowie mojej rodziny w Ohio utrzymywali, że nie: Obama nie wygra tym razem, Ameryka nie jest jeszcze gotowa, może za jakieś dwie kadencje.

W niedzielę wieczór – trzydzieści sześć godzin przed dniem wyborów – Charles Allen odwiedził rodziców. Myślał, że zarzucą go pytaniami na temat nowego płaskiego telewizora, który im ostatnio kupił. Do czego służy ten guzik? A ten? Tymczasem Helene nie mogła się doczekać, by opowiedzieć synowi, że dwa dni wcześniej odwiedził ich pisarz.

– Tak się cieszyła – opowiadała mi później. – Była szczęśliwa, wiedząc, że wreszcie ktoś opowie historię Eugene’a. Powiedziała mi, idąc do łóżka: „Czuję taki spokój”.

Charles mówił później reporterowi w Ohio, że moja wizyta wydawała się „przeznaczona z góry”.

Następnego dnia, w poniedziałek, zadzwoniłem do nich. Po prostu po to, żeby się odezwać i zapytać o fotografa, który miał przyjść i zrobić im zdjęcia do mojego artykułu.

– Nie ma jej – powiedział Eugene. Miał na myśli Helene. Jego głos brzmiał dziwnie, głucho.

Zapytałem, gdzie jest.

– Obudziłem się, a moja żona nie – wyjaśnił.

Ciągle nie rozumiałem. Jest w szpitalu?

– Nie – odparł. – Helene zmarła w nocy.

Oniemiałem i nagle zakręciło mi się w głowie. Zapytałem, czy ktoś z nim jest. Panie z kościoła właśnie wchodziły.

W miarę jak w smutku i żalu upływały godziny, niektórzy z gości – wśród nich aktualni i dawni kamerdynerzy, pokojówki i pomywacze z Białego Domu – zaczęli snuć wspomnienia o pięknej Helene Allen: jak uwielbiała tańczyć; jak przepadała za szampanem; jak wyglądała w swoich toaletach, kiedy wybierała się na jakąś wspaniałą imprezę w Białym Domu.

Jednocześnie – między nagłymi przypiływami bólu – musieli co rusz wyganiać Eugene’a z kuchni, bo ciągle chciał wszystkich obsługiwać. Po półwieczu wypełniania kamerdynerskich obowiązków nie potrafił usiąść i zostawić roboty innym.

Dwadzieścia cztery godziny później Eugene Allen, emerytowany kamerdyner z Białego Domu, wstał w ciemnościach i ubrał się na wpół przytomny – żona, z którą był sześćdziesiąt pięć lat, nie żyła, jej „Jet”, „Ebony” i „Newsweek” z kandydatem na prezydenta Barackiem Obamą na okładkach wciąż leżały na stoliku kawowym w salonie – by udać się na głosowanie. Wymagało to zapewne żelaznej woli, ale on wiedział, tak jak wiedział świat, że rozstrzyga się historia.

Po głosowaniu wrócił do domu. Szedł z grymasem bólu, ale bez skargi. Panie z kościoła i krewni dotrzymywali mu towarzysztwa przez resztę dnia, kiedy smutek ścisnął mu serce, a ból dręczył ciało tak bardzo, że Eugene chodził po domu bezwolny jak marionetka, którą w pionie utrzymują tylko sznurki.

Kiedy dramat wyborczej nocy osiągał swoje apogeum i popłynęły łzy – a naród, na przekór, jak się wydawało, historycznym szansom, cudownie przeskoczył szczyt góry i wybrał pierwszego czarnoskórego prezydenta Stanów Zjednoczonych – Eugene Allen siedział w swoim ulubionym fotelu, kilkanaście centymetrów od miejsca, gdzie zwykła siedzieć Helene. Na jego twarzy koloru cynamonu gościł delikatny tkliwy uśmiech.

Moja opowieść o historii czarnych w Białym Domu, od kuchni po Zachodnie Skrzydło, i o Eugenie i Helene Allenach, o ruchu na rzecz praw obywatelskich i wszystkich tych modłach za Baracka Obamę, nosiła tytuł *Kamerdyner pierwszorzędnie obsłużony w wyborach*. Pojawiła się ona na pierwszej stronie „Washington Post” 7 listopada 2008 roku, trzy dni po wyborach;

tego samego dnia, kiedy pochowano Helene Allen.

Wybory w istocie pierwszorzędnie obsłużyły wszystkich tych, którzy niegdyś znosili brutalną segregację rasową, których bito podczas akcji *sit-in* [zajmowanie przez czarnych miejsc przeznaczonych wyłącznie dla białych w autobusach, restauracjach itp.], którzy przeszli przez most Edmunda Pettusa w Alabamie, którzy organizowali marsze, domagając się równych praw obywatelskich, i łądowali w sławetnym zakładzie karnym Parchman w Missisipi. Wszystkich tych nadal żyjących, którzy pamiętali napisy BIALI, KOLOROWI. Nawet w dzisiejszym świecie gonitwy, gadżetowego obłędu, bezosobowych urzędów było to wydarzenie epokowe. To była historia i wszystkie historyczne kamienie milowe skupiły się w tym jednym momencie. Ludzie szukali porównań, ale ponieważ była to Ameryka, niegdyś kraina Ku-Klux-Klanu i linczów oraz uświęconego prawem obywatelstwa drugiej kategorii, nie dało się tego z niczym porównać. A jednak stary człowiek, który spełnił tego ranka swój obywatelski obowiązek, siedział sam w fotelu w północnym Waszyngtonie, a skok w jego życiu też wydawał się epokowy. Z plantacji do kartki wyborczej i głosu oddanego na Baracka Obamę.

Po opublikowaniu artykułu przychodziły do mnie i do Eugene'a Allena listy ze wszystkich zakątków Ameryki i z całego świata. Bardzo wiele gazet przedrukowało artykuł. Obaj byliśmy zaskoczeni i wzruszeni. W niektóre wieczory po pracy taszczyłem w zimowych ciemnościach do jego domu torbę pełną listów. On stał w drzwiach, lekko zgarbiony, z rękami zawsze zgiętymi w łokciach i nieśmiałym uśmiechem. Tego wieczoru wkrótce po moim przybyciu i po wstępnej pogaduszce – o tym, jak potwornie zimno jest na dworze, o liście od ustępującego prezydenta George'a W. Busha i Laury Bush w związku ze śmiercią Helene – Eugene włożył swoje dwuogniskowe okulary, a ja wręczyłem mu część listów, które przyniosłem w torbie na ramię. Delikatnie otwierał je i czytał jeden po drugim.

Od Diany Glenn:

*Co za wzruszająca historia. Nie mam kontaktu z panem Allenem, ale jestem przekonana, że Pan ma. Mam wielką nadzieję, że Eugene Allen zostanie zaproszony na obiad w Białym Domu z prezydentem Obamą. Pana artykuł był przedrukowany w „Bend Bulletin” w Bend, Oregon.*

Od Jasona Whitelya:

*Wszystkiego najlepszego dla pana Allena i jego rodziny, zmagających się z wielką stratą w tak wspinałym i fascynującym momencie zwrotu w historii.*

Od Kimberly Randolph:

*Czyż nie płakałam w tym tygodniu każdego dnia, a znów ocieram oczy... Kto zatroszczy się teraz o Gene'a, kiedy nie ma już Helene? Gene bezwarunkowo powinien być w Białym Domu 20 stycznia 2009.*

Od Phyllis C. McLaughlin:

*Jakie to smutne, że jego żona umarła, zanim mogła zagłosować w tych historycznych wyborach... Co za cudowna para. Moje serce naprawdę wrywa się do niego.*

Od Martina Caina:

*Dziękuję za Pańską opowieść o panu Allenie i jego zdumiewającej karierze... Mam pięćdziesiąt osiem lat, jestem białym mężczyzną... Zamierzałem głosować na McCaina. W drodze do punktu wyborczego zacząłem rozmyślać o historii Ameryki i o chwili, która być może zbliża się właśnie dla Amerykanów – nie tylko czarnych Amerykanów, ale wszystkich Amerykanów. Wszedłem do środka i zagłosowałem na Obamę. Myślę, że na poziomie intelektualnym potrafię zrozumieć podniecenie wywołane znaczeniem wyboru Obamy. Wiem, że nigdy tego nie zrozumieję na poziomie emocjonalnym... Płakałem, kiedy zdałem sobie sprawę, że Helene zmarła przed wyborami. Proszę przekazać moje serdeczne wyrazy współczucia panu Allenowi i jego rodzinie.*

Było więcej listów – z Australii, z Japonii – o wiele za dużo, żeby je przeczytać za jednym posiedzeniem.

– Ojej – powiedział kamerdyner i cicho zachichotał. – Oni są strasznie mili. Napijesz się herbaty? Kawy? – spytał po chwili. Chyba nigdy nie wyzbył się chęci usługiwania.

Ja jednak odmówiłem, bo nie mogłem patrzeć, jak podnosi się z grymasem bólu i powoli zmierza do kuchni. Czasami po prostu siedzieliśmy w milczeniu, *The Price Is Right* buczało z telewizora, jeszcze raz przesuwają się kolejne epizody. Wiem, że brakowało mu Helene. Zastanawiałem się tego wieczoru, i nie tylko wtedy, czy częściowo nie ponoszę winy za to, że Helene opuściła ten padół, czy moje pytania podczas wywiadu nie wyczerpały jej, nie były przyczyną stresu, nie zwolniły akcji jej serca, aż się zatrzymało. Wówczas przypominałem sobie, że jej syn mi mówił, jak – zanim zaczęła się wspinać po schodach, by przygotować się na to, co okazało się ostatnią nocą jej życia na tej ziemi – powiedziała mu, że czuje się taka szczęśliwa, bo historia Eugene'a Allena zostanie wreszcie spisana.

Stojąc na zewnątrz, na ganku, w zimowych ciemnościach, czekałem, aż usłyszę ze środka dźwięk zasuwanej zasuw. Następnie kamerdyner rozsunął zasłony, żeby mi pomachać na pożegnanie.

*My man Godfrey.*

*My man Eugene.*

Allen wspomniał kiedyś, jak Nixon przemierzał korytarz Białego Domu, rozmyślając nad zamętem w biurze i swoją nieufnością do prasy. Występując publicznie, amerykański prezydent zawsze wydaje się pewny siebie, śmiały i zdecydowany. Ludzie oglądają prezydentów w otoczce władzy. Czy sam Kennedy nie tryskał energią na przylądku Canaveral, w tych modnych przeciwsłonecznych okularach, snując marzenia o podboju Kosmosu? Mieliśmy obraz wiecznie młodego Ronalda Reagana rąbiącego drwa w wiejskim krajobrazie kalifornijskim, obraz, który zdawał się emanować męskością i siłą. A jednak jeśli dom człowieka jest jego zamkiem, to czym jest Biały Dom, w którym on mieszka? Frontowe drzwi słabo bronią dostępu koszarom i złym wieściom. Czy czasami nie jest to także zaklęta komnata, gdzie wyobraźnia może dryfować i błądzić? Łatwo można sobie wyobrazić Eugene'a Allena żegnającego się ze mną, zawracającego od drzwi i schodzącego do piwnicy, do swoich zbiorów, gdzie jego świat pozostaje zamrożony w czasie, niby kronika filmowa zatrzymany dwa piętra pod jego sypialnią, w której nie ma już Helene. Jego zdjęcia z Ikiem, z czempionami bokserskimi w Białym Domu, z Mamie Eisenhower, zdjęcie, na którym sam pstryka fotkę Tacie Kingowi, tacie przywódcy walki o równe prawa. Eugene'a Allena rozmyślającego tak, jak niektórzy prezydenci, którym służył, przemierzającego cichą krainę późnonocnych marzeń, by nabrać sił na przyszłe dni i powspominać chwałę dni minionych. W domu – prezydent swojego własnego życia.

Parę tygodni później wróciłem, żeby podzielić się wiadomościami: zespół odpowiedzialny za inaugurację prezydenta elekta Obamy wysłał do Eugene'a Allena VIP-owskie zaproszenie. Wiadomości było więcej: zaczynali dzwonić hollywoodzcy producenci filmowi. Mówiło się, że chcą zrobić film o jego życiu.

– A niech mnie – powiedział. I uśmiechnął się mimo bólu.

Całe życie pracował na nogach. Teraz wydawało się, że odczuwa ból w całym ciele – w ramionach, biodrach, łydkach. VIP-owskie zaproszenie i telefony z Hollywood – zastanawiałem się, ile to wszystko dla niego znaczy. W domu nie było nikogo, kto by przypomniał mu, żeby zażył swoje tabletki. Nie było nikogo – w te wieczory, kiedy był w nastroju – dla kogo postawiłby na stole piękną porcelanę i zapalił świece. Tak jak to robił w Białym Domu. Tak jak to robił dla Helene. Mogłem przekazać wiadomości przez telefon, ale do tego czasu zdołałem go już polubić. Kiedy wracałem od niego tego wieczoru, przypomniała



mi się moja rodzima dzielnica w Columbus, Ohio. Były podobieństwa: czyste ulice, solidnie zbudowane domy, jardy płotów i rzędy żywopłotów. Robotnicze dzielnice. Po powrocie z uniwersytetu zamieszkałem z dziadkami, nie z matką. Starzy ludzie mają dla mnie urok. Może odległość od tej ulicy w Waszyngtonie do mojej własnej dzielnicy w Columbus nie była aż tak wielka.

**Podczas historycznej kampanii** Baracka Obamy w 2008 roku w gazetach i tygodnikach nieustannie pojawiały się opowieści dotyczące rasowej historii Ameryki: wyśledzono, że przodkowie Michelle Obamy byli niewolnikami na plantacji w Karolinie Południowej. Biały Dom – rezydencja, do której Barack Obama usiłował uzyskać wstęp – został wybudowany rękami niewolników. Jak czarny był Obama? Bywalcy wielu miejskich salonów fryzjerskich wskazywali na fakt, że jego ojciec pochodził z samej Afryki – ojczyzny. Jego historia była tak hipnotyzująca, tak nieprawdopodobnie fascynująca, że na ironię nie było tu miejsca. Ale świat Pennsylvania Avenue 1600 zawsze był wciągnięty w rasowe dramaty narodu.

W przeszłości czarni szukali w Białym Domu pomocy i przywództwa w swoim marszu do równości.

W roku 1863 prezydent Lincoln, wykorzystując swoją brutalną polityczną przenikliwość, sprytnie zmusił Kongres do przyjęcia Trzynastej Poprawki znoszącej niewolnictwo. Kajdani spadły z kostek i nadgarstków. Ale on zapłacił za to życiem. (Doniosłe zwycięstwo legislacyjne wprowadzające zniesienie niewolnictwa było tematem filmu Stevena Spielberga *Lincoln* z 2012 roku. Spielberg, nawiasem mówiąc, był jednym z reżyserów początkowo zainteresowanych przeniesieniem na ekran historii Eugene'a Allena). W okresie Rekonstrukcji, który nastąpił po zamachu na Lincolna, dążono do poszerzenia praw czarnych. W 1866 roku Frederick Douglass – były niewolnik i jeden z najślynniejszych abolicjonistów swoich czasów – dotarł do Białego Domu, by apelować do prezydenta Andrew Johnsona o przyznanie czarnym praw wyborczych. Johnson uznał, że nie zbije żadnego politycznego kapitału, walcząc dla nich o prawa wyborcze. Douglass uzyskał ponowne zaproszenie do Białego Domu w 1877 roku. Tym razem nie miało to nic wspólnego z polityką: prezydent Rutherford B. Hayes zatrudnił go w charakterze mistrza ceremonii podczas świątecznej fety.

Szesnastego października 1901 roku murzyńskiego kamerdynera w Białym Domu poinformowano, że prezydent Theodore Roosevelt będzie miał wieczorem gościa. Tuż przed wyznaczonym czasem wizyty kamerdyner nakrył do stołu. Gość przybył sam pod osłoną nocy – i potajemnie. Był to Booker T. Washington, sławny działacz oświatowy, który także urodził się jako niewolnik. Żaden Murzyn nie był wcześniej zaproszony na kolację w Białym Domu. Sama jego obecność wzbudzała ciekawość kamerdynera i wywoływała podenerwowanie. Lincze nadal były powszechne na prowincji w Marylandzie, niemalże pod boki Białego Domu. Według późniejszych relacji Washington i Roosevelt rozmawiali głównie o polityce wobec południowych stanów i konfliktach w tym regionie. Następnego rana niewielka wzmianka o tej kolacji pojawiła się w wiadomościach. Wkrótce rozpętało się piekło. Południowcy nie zostawili na Rooseveltcie suchej nitki. „Memphis Scimitar” znalazł się w pierwszym szeregu tych, którzy obrzucili go inwektywami: „Żaden obywatel Stanów Zjednoczonych nie dopuścił się równie skandalicznej zniewagi jak prezydent zapraszający czarnucha na kolację do Białego Domu”. I dalej: „Dopiero niedawno prezydent Roosevelt chwalił się, że jego matka pochodzi z Południa i że z tego powodu jest on półpołudniowcem. Zapraszając czarnucha do swojego stołu, okazał matce mało szacunku”.

Niewątpliwie zdarzały się przebłyski światła w ciemności, jeśli idzie o postawę Białego Domu wobec czarnych Amerykanów. W 1939 roku – kiedy to elegancko ubrany Eugene Allen szykował się do wyjazdu z wsiowej Wirginii w poszukiwaniu lepszej pracy – stowarzyszenie

Córy Amerykańskiej Rewolucji, DAR, które kontrolowało dystrybucję biletów do Constitution Hall, zabroniło ze względu na swą zasadę segregacji rasowej wystąpić na tamtejszej scenie śpiewacze operowej Marian Anderson. Pierwsza Dama Eleanor Roosevelt, członkini DAR, natychmiast wystąpiła ze stowarzyszenia. Jej postawa zyskała szeroki rozgłos i powszechną aprobatę w murzyńskiej prasie. Co więcej, pani Roosevelt zorganizowała występ Anderson na schodach pomnika Lincolna w niedzielę wielkanocną 1939 roku.

Pierwsza Dama Bess Truman, pochodząca z przygranicznego stanu Missouri, była wierną członkinią DAR. Kiedy stowarzyszenie w 1945 roku nie pozwoliło zaangażować do Constitution Hall Hazel Scott, znanej pianistki i żony kongresmena z Harlemu Adama Claytona Powella, wybuchła kolejna wojna na słowa. Powell zaapelował do prezydenta Trumana, żeby ten coś zrobił. Truman oświadczył, że nie może, pod pretekstem, że DAR jest prywatną organizacją i nie zamierza ingerować w jej sprawy. Bess Truman stanowczo odmówiła wystąpienia z DAR. Powell – który potrafił niebezpiecznie szybko zaripostować żartem – nazwał Pierwszą Damę Bess Truman „ostatnią damą kraju”. Prezydent Truman w murach Białego Domu dał wyraz swojej irytacji na tę dyskredytującą uwagę i nazwał Powella „cholernym murzyńskim kaznodzieją”. Spór poruszył opinię publiczną: do Białego Domu zaczęły napływać w tej sprawie listy. Jeden z nich, adresowany do Bess Truman, podkreślał trud czarnoskórych Amerykanów na polu walki: „W świetle ich ofiary naprawdę szokuje fakt, że Pani odmówiła wczoraj filiżanki herbaty i pudełka herbatników na poparcie tezy, za którą oddali życie”. Byli tacy, którzy uważali, że Powell zawstydził Biały Dom. „Z drugiej strony Powell z pewnością wybrał drastyczny sposób zaatakowania uprzedzeń – pisała jedna z gazet w Missouri – i niczym Katon (który ostrzegał przed upadkiem cesarstwa rzymskiego) służy narodowi, zwracając uwagę na niebezpieczeństwo”.

Wśród pierwszych zadań, jakie otrzymał Eugene Allen w kuchni Białego Domu, kiedy zaangażowano go na zmywak, było mycie filiżanek i spodeczków, z których prezydent Truman i Bess Truman pili swoją codzienną herbatę.

**Czarni kamerdynerzy z Białego Domu** stawali się świadkami prywatnego życia w rezydencji. Ciężka na nich wielka odpowiedzialność – musieli umieć przez całe lata zachowywać wszystko, co widzieli, w tajemnicy.

Żony i krewni nieustannie nękali ich pytaniami o to, co dzieje się przy Pennsylvania Avenue 1600: Czy są sekretne tunele w Białym Domu? Czy Jackie Kennedy jest miła, czy zadziera nosa? Czy LBJ, Lyndon B. Johnson, użył słowa „czarnuchy”? (Według wszelkich relacji najbardziej zasłużony od czasów Lincolna prezydent, jeśli chodzi o zrównanie praw obywatelskich, istotnie użył tego słowa).

Na zewnątrz Białego Domu na tych kamerdynerów czekały jeszcze inne prywatne światy – światy zaludnione przez ambasadorów, sławnych aktorów, magnatów prasowych i finansowej elity zamieszkującej Wschodnie Wybrzeże od góry do dołu. Rodziny w Waszyngtonie, Nowym Jorku, w Hartford, Connecticut, a także w Newport, Rhode Island: eleganckie towarzystwo, które spędzało lato na Long Island. Urządzali wieczorki i wystawne przyjęcia dla przyjaciół przylatujących z Zachodniego Wybrzeża i często angażowali na te przyjęcia kamerdynerów z Białego Domu.

Ci murzyńscy kamerdynerzy – a wielu z nich wyszkolił nie kto inny jak Eugene Allen – cieszyli się w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych takim powodzeniem, że założyli Prywatny Klub Kamerdynerów. Słynęli ze skrupulatności i profesjonalizmu, co czyniło z nich poszukiwaną obsługę tego typu imprez.

– Ci ludzie mieli jazz i bebop we krwi. I własny styl. Potrafiliby obsługiwać światowych przywódców, jakby byli niewidoczni – wspomina Daphne Muse, której ojciec, Fletcher Muse

senior, i stryj, George Allen Muse, byli członkami Prywatnego Klubu Kamerdynerów. Obydwaj zostali wynajęci przez Biały Dom jako kamerdynerzy kontraktowi i tam poznali Eugene'a Allena. – To był zamknięty krąg mężczyzn – dodaje Muse.

Kiedy kamerdynerzy pracowali na wyjeździe, często wracali do domu obładowani torbami pełnymi frykasów.

– Dziesięciokilogramowa torba mięsa błękitnego homara uważana była za resztki – mówi Muse.

Jednak ich dyskrecję ceniono ponad wszystko. Muse ze śmiechem przytacza szczególne wspomnienie pewnego kamerdynera, który opowiedział jej pod koniec życia, co się działo na jednym z prywatnych przyjęć pod miastem: seks, i to w wielkiej obfitości. Impreza przemieniła się w orgię i kamerdyner zmuszony był stąpać na palcach – z tacą w ręku – między kłębiącymi się parami.

**Spoglądając wstecz na swoją** pisarską karierę, dochodzę do wniosku, że Eugene Allen był ostatnim ogniwem w łańcuchu tych wszystkich fascynujących postaci, z którymi przeprowadzałem w przeszłości wywiady, a które miały związek z wrzeniem w Białym Domu.

W 1986 roku siedzę w pokoju motelowym na obrzeżach Little Rock w Arkansas z kruchym człowieczkiem, który rozpoczął kampanię, ubiegając się o stanowisko gubernatora tego stanu. To nie byle kto, to Orval Faubus, gubernator Arkansas w czasie kryzysu w Little Rock Central High School w 1957 roku. Jeszcze jeden stary politykier, który nie odpuści. Ostatnio mówił o odkupieniu, ale czarni w tym stanie – i wielu białych, trzeba to stwierdzić – tylko wznosili oczy do nieba. To jest ten gubernator, który wtedy, w 1957 roku, zmusił administrację Eisenhowera do wysłania federalnego wojska dla zapewnienia bezpieczeństwa dziewięciu murzyńskim studentom. Wydaje się taki grzeczny i tak naprawdę nie chce rozmawiać o przeszłości, chociaż nadmienia, że w 1957 próbował jedynie stosować się do praw stanowych.

Jest rok 1991, a ja jestem w mieszkaniu na Harlemie z E. Frederickiem Morrow. Był on pierwszym czarnoskórym zatrudnionym w Białym Domu – w 1955 roku – na kierowniczym stanowisku. Siedzi na sofie – człowiek dumny, absolwent Bowdoin College. Działal w społeczeństwie przed jakąkolwiek legislacją nowoczesnych praw obywatelskich. Jakich wyzwisk się nasłuchał! Nawet czarni kpili z niego, bo pracował dla republikańskiej administracji.

Jest rok 1992 i siedzę w domu Louisa Martina, aktywisty demokratycznego, którego działalność na rzecz nadziei i ambicji czarnoskórych Amerykanów sięga czasów Franklina D. Roosevelta. To Martin był głównym organizatorem uroczystości upamiętniającej setną rocznicę Proklamacji Emancypacji w 1963 roku w Białym Domu, za administracji Kennedy'ego. Im więcej opowiada o tych czasach – walce o prawa obywatelskie, zapraszaniu Murzynów takich jak Martin Luther King i A. Philip Randolph do Białego Domu – tym częściej przykłada do oczu białą chustkę, którą trzyma w ręku. Wspomnienia stoczonych bitew nadal go poruszają.

Siedzę – jest rok 1993 – z George'em Wallace'em, starym człowiekiem o świszczącym oddechu, poruszającym się na wózku inwalidzkim, w jego biurze w Montgomery, w stanie Alabama. W pewnym momencie amerykańskiej historii gubernator Wallace symbolizował powód, dla którego czarni uciekali z Południa: to ten gubernator stał przy drzwiach Uniwersytetu Alabamy i mówił, że czarni nigdy nie będą mieli wstępu na tę uczelnię. Jego slogan – „segregacja teraz, segregacja jutro, segregacja zawsze” – stał się wiecowym zawołaniem segregacjonistów i członków Ku-Klux-Klanu. W 1972 roku jakiś obłąkany człowiek postrzelił George'a Wallace'a podczas jego kampanii wyborczej. Tego dnia w Montgomery opowiada mi o czarnych przyjaciółach, których ma teraz, o tych wszystkich, którzy mu wybaczyli.

Inny dzień – mamy rok 2002 – słońce zaczyna zachodzić, a ja stoję oparty o auto przed warsztatem samochodowym w Jackson, Missisipi. James Meredith, który dokonał wylomu,

zapisując się na uniwersytet Ole Miss w 1962 roku, mówi o ubóstwie, o czarnych i białych, o Missisipi, o odwadze i o historii. Czterdzieści lat dzieli go od dnia, kiedy naród wstrzymał oddech, a na kampusie wybuchły zamieszki. Mówi mi, jak bardzo kocha stan Missisipi, gdzie tłum zobaczył w nim niegdyś wcielenie każdego Murzyna dążącego do awansu społecznego.

Przybywałem, aby spędzić czas z tymi wszystkimi ludźmi jako pisarz, dziennikarz i biograf, przemierzając w pogoni za opowieściami autostrady i boczne drogi jak Ameryka długa i szeroka. W pewnych momentach historii każdy z nich wywoływał jakąś emocję, wrzawę, wciągając Biały Dom w sprawę równouprawnienia czarnych. I we wszystkich tych momentach, przez lata – gdy w kraju świsnęły kule, rozlegały się strzały i dokonywano zamachów – nieznany z imienia kamerdyner Eugene Allen znajdował się w Białym Domu. Widział i słyszał postaci i nazwiska dziś historyczne, miał pełny obraz. Na pewno słyszał niektóre rozmowy telefoniczne, oglądał ludzi, którzy przybywali do Białego Domu, żeby zobaczyć się z prezydentem i porozmawiać o Little Rock albo Oxford w stanie Missisipi. Albo o Birmingham. Musiał to rozszyfrować, pojąć, przerobić emocjonalnie. Prawda, był człowiekiem z tacą, lekarstwem, herbatą, talerzem zupy; był kamerdynerem przynoszącym prezydencki kapelusz, prezydenckie brogusy. Ale był też czarny. I widział z bliska, jak grunt się przesuwa.

W niektóre wieczory, kiedy Eugene Allen wracał po pracy do domu i wysiadał z samochodu na Otis Place, po jeszcze jednym wstrząsającym wydarzeniu dotyczącym czarnych Amerykanów i ich epokowej walki o wolność, monopolizującym ekrany telewizyjne, sąsiedzi mieli ochotę wybiec na ganki i błagać go o informacje. Cokolwiek, u licha, choćby okruczeństwo, strzęp informacji. Ale Helene przez lata dobrze tych sąsiadów wytrenowała – dostrzegalne skinienie głowy, kilka dobitnych słów w alejce supermarketu: Eugene nie może mówić; musi być dyskretny; nie jest plotkarzem. Jasne, że to niekoniecznie powstrzymywało samą Helene od zadawania pytań. Mały Charles słyszał, jak szepczą przy kuchennym stole. Bawił się swoimi zabawkami w salonie. Słyszał, że rozmawiają przyciszonymi głosami o tym, jak ojcu minął dzień w pracy. Kiedy tylko syn zawędrował do kuchni, ten temat się urywał. Rozmowa toczyła się głównie wokół czegoś tam, a nie wydarzeń w Białym Domu, gdzie mieszkał przywódca wolnego świata.

Jak człowiek, kamerdyner, kamerdyner Murzyn w dobie segregacji rasowej, jest w stanie utrzymać język za zębami? Przesuwać się przez rezydencję, gdy tyle z tego, co dzieje się wokół, ma wpływ na jego życie i życie jego rodziny? Na pewno dyskrecja odgrywa dużą rolę; a także miłość do kraju.

Przypomina mi się zdanie z dialogu *Kamerdynera*, wypowiedziane przez samego Luthera Kinga: „Czarni służący odegrali ważną rolę w naszej historii”. Mówił chyba o zawodowej dumie i honorze oraz ich wpływie na powolny marsz naprzód.

**Rankiem 20 stycznia 2009 roku** w Waszyngtonie było przenikliwie zimno – temperatura w dzień wahała się od minus dwunastu do minus sześciu stopni. O 6.30 czekałem w domu Eugene'a Allena. Wybieraliśmy się razem na zaprzysiężenie pierwszego czarnego prezydenta kraju. Patrząc, jak niegdyś kamerdyner schodzi po schodach – znowu te małe grymasy wykrzywiały mu twarz – zastanawiałem się, czy nie popełniliśmy błędu. Nie byłem już taki pewny, czy on zdoła temu sprostać, wydawało mi się, że czekający nas długi dzień może być ponad jego siły. Podczas moich ostatnich wizyt Eugene Allen zaczął brać mnie w ramiona i mocno przytulać. Wzruszało mnie to. I teraz to zrobił, dotarłszy do końca schodów; słyszałem jego zmęczony oddech. Kiedy wyraziłem troskę o jego samopoczucie, powiedział, że bym się nie martwił.

– Dam radę – stwierdził, przystanąwszy obok oprawionego zdjęcia prezydenta Reagana i Nancy Reagan z Helene, które wisiało w salonie. Pomogłem mu włożyć długi szary wełniany

płaszcz. Wziął kapelusz fedora w stylu Franka Sinatry. Jego syn Charles rozgrzewał tymczasem silnik samochodu, pozwalając, by ciepło przeniknęło poszczególne części cadillaca. Podjechaliśmy samochodem do stacji kolejki podziemnej i wsiedliśmy do pociągu. Wiedzieliśmy, że po dojechaniu do ostatniej stacji trzeba przejść kawał drogi. Pociąg był pełny, ale panowała w nim zadziwiająca dyscyplina. Nikt nie miał ochoty spowodować jakichkolwiek zakłóceń czy zamętu. Charlie trzymał ojca pod ramię z jednej strony, ja z drugiej.

Na stacji, kiedy wysiedliśmy z pociągu, scena przypominała *Dzień szarańczy*: jak okiem sięgnąć, ludzkie mrowie. Tłum liczył co najmniej dwa miliony ludzi. Eugene Allen musiał niemal natychmiast usiąść. Był wyczerpany. Znaleźliśmy betonową barierę. Złapał oddech. Syn owinął mu ciaśniej szyję szalikiem. Przez ulice pełne konnej policji i tysiacy pieszych ruszyliśmy w stronę sektora, gdzie mieliśmy miejsca siedzące. Ponadpółkilometrowy spacer – obstawałem, żeby zawrócić i znaleźć taksówkę. Powinniśmy zabrać Eugene'a Allena do domu; oddychał ciężko. Czułem się jak kretyn, że wyciągnąłem go na dwór w to niemiłosierne zimno. Ale on nagle odwrócił się do mnie i powiedział:

– Zabierzcie mnie na chwilę z tego zimna. Potrzebuję jakiegoś ciepłego miejsca. Potem pójdziemy dalej.

Znaleźliśmy komisariat policji. Byłem przemarznięty. Charles był przemarznięty. I kamerdyner był przemarznięty. Siedzieliśmy, popijając gorącą czekoladę. Po dwudziestu minutach, kiedy Allen oświadczył, że nie ma zamiaru wracać do domu, ruszyliśmy dalej.

Dotarliśmy w końcu do sektora VIP-ów. Strażnik z piechoty morskiej przywitał Eugene'a Allena i zaprowadził nas do naszych zimnych metalowych siedzisk, a zimny wiatr hulał wokół nas. Widzieliśmy z daleka miejsce, gdzie prezydent złoży przysięgę, obejmując urząd. Widzieliśmy wielki kolorowy kapelusz na głowie Arethy Franklin. Allen rozglądał się wokół, starając się wszystko zapamiętać. Powiedział, że wie, jak cieszyłaby się Helene, gdyby mogła tu być. Pojawił się szereg postaci, które zaczęły zajmować miejsca nad nami, na schodach rotundy Kapitolu. Wiele z tych osób kamerdyner obsługiwał przez lata.

– Tam jest Jimmy Carter – wskazał. – Dobrze wygląda. Kiedyś zabrał mnie ze sobą do Camp David. Gdy wszedł tam do jadalni – dali mi dzień wolny, kiedy z nimi pojechałem – wskazał na wolne krzesło obok mnie i zapytał: „Kto tu siedzi, Gene?”. Odpowiedziałem: „Nikt, panie prezydencie”. A on powiedział: „To dobrze, usiądę obok ciebie, Gene”.

Prezydent Barack Obama wszedł w pole widzenia. Wyraźnie rozradowany kamerdyner oznajmił:

– Mówię wam, to naprawdę warto zobaczyć. Zobaczyć, jak on tam stoi. Dla takiej chwili warto było przez to wszystko przejść.



Młody Eugene, stojący w środku, wkrótce po przybyciu do Waszyngtonu w czasach Wielkiego Kryzysu



Piętnastoletnia Helene marząca o ucieczce od dzieciństwa na Południu i przeniesieniu się do stolicy



Powiedziała „tak”!





Eugene i Helene w swoim domu z synem Charlesem, 1948



Po lewej piękna i młoda Helene



Elegancko ubrany kamerdyner w Białym Domu za kadencji Trumana



Eugene Allen, z lewej, w pierwszym roku swojej pracy, 1952



Allen obsługujący gości na trawniku Białego Domu w czasach prezydentury Eisenhowera



W pokoju kredensowym Białego Domu, gdzie się wszystko zaczęło



Stół zawsze nakryty był wystawnie. Allen stoi pośrodku, obok szefa kuchni



Eugene Allen, człowiek w tle





Kwiaty były zawsze świeże



Mimo długich godzin pracy on nigdy nie narzekał i w ciągu trzydziestu czterech lat nie opuścił ani jednego dnia



Mały *two-step* w Białym Domu



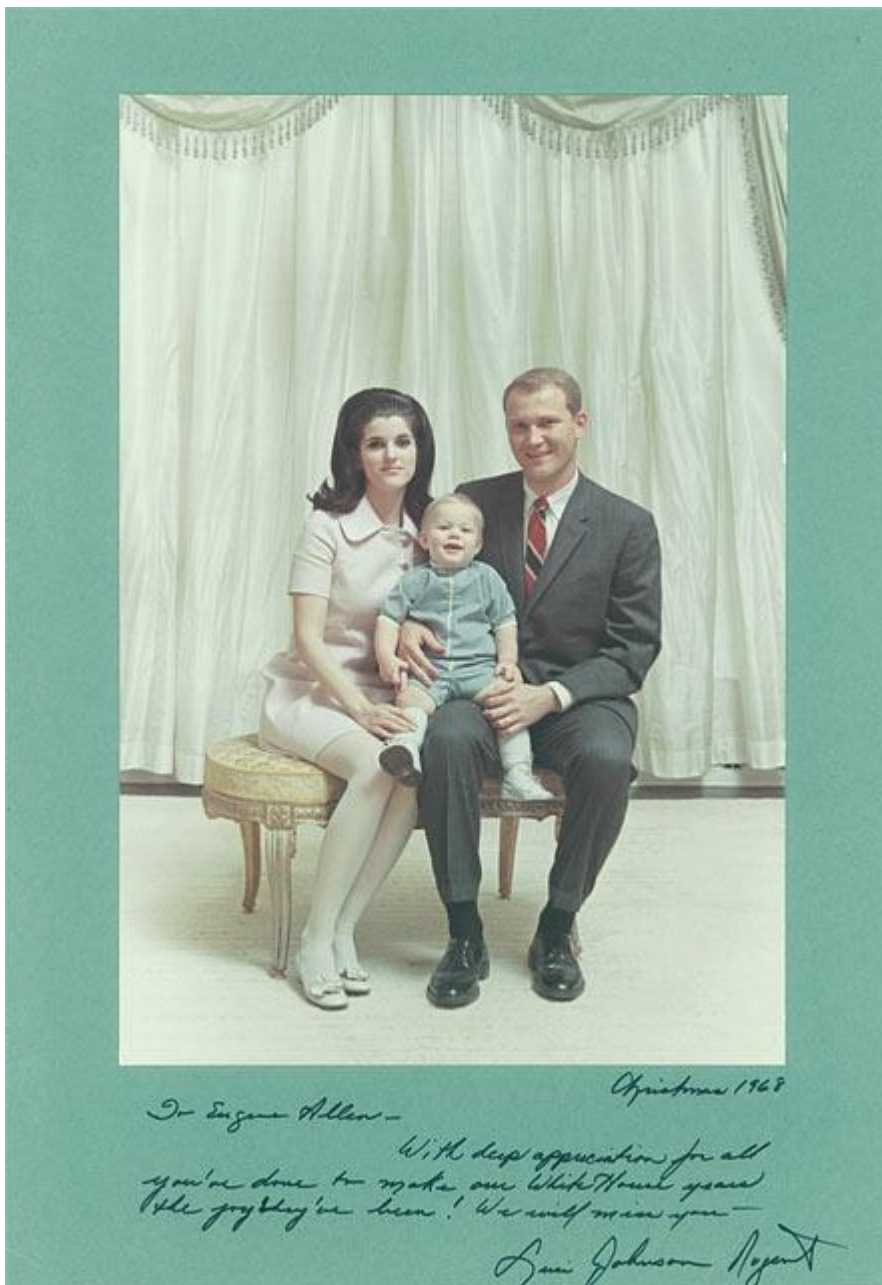
Dzień po zamachu na Kennedy'ego. Eugene Allen usiłuje rozjaśnić atmosferę w Białym Domu, improwizując przyjęcie dla dzieci Kennedych i ich małych przyjaciół



Eugene Allen przemienia się w fotografa, by zrobić zdjęcie Martina Luthera Kinga seniora, znanego w ruchu jako Tata King



Gwiazdy, między innymi Peter Lawford, często po wizycie w Białym Domu przesyłały Eugene'owi zdjęcia z dedykacją



Życie w Białym Domu za czasów Lyndona B. Johnsona, koniec lat sześćdziesiątych



Charles Allen w Wietnamie. W tym czasie w Ameryce jego ojciec Eugene Allen pracował w służbie Johnsona, który wysłał na wojnę jego jedyne syna





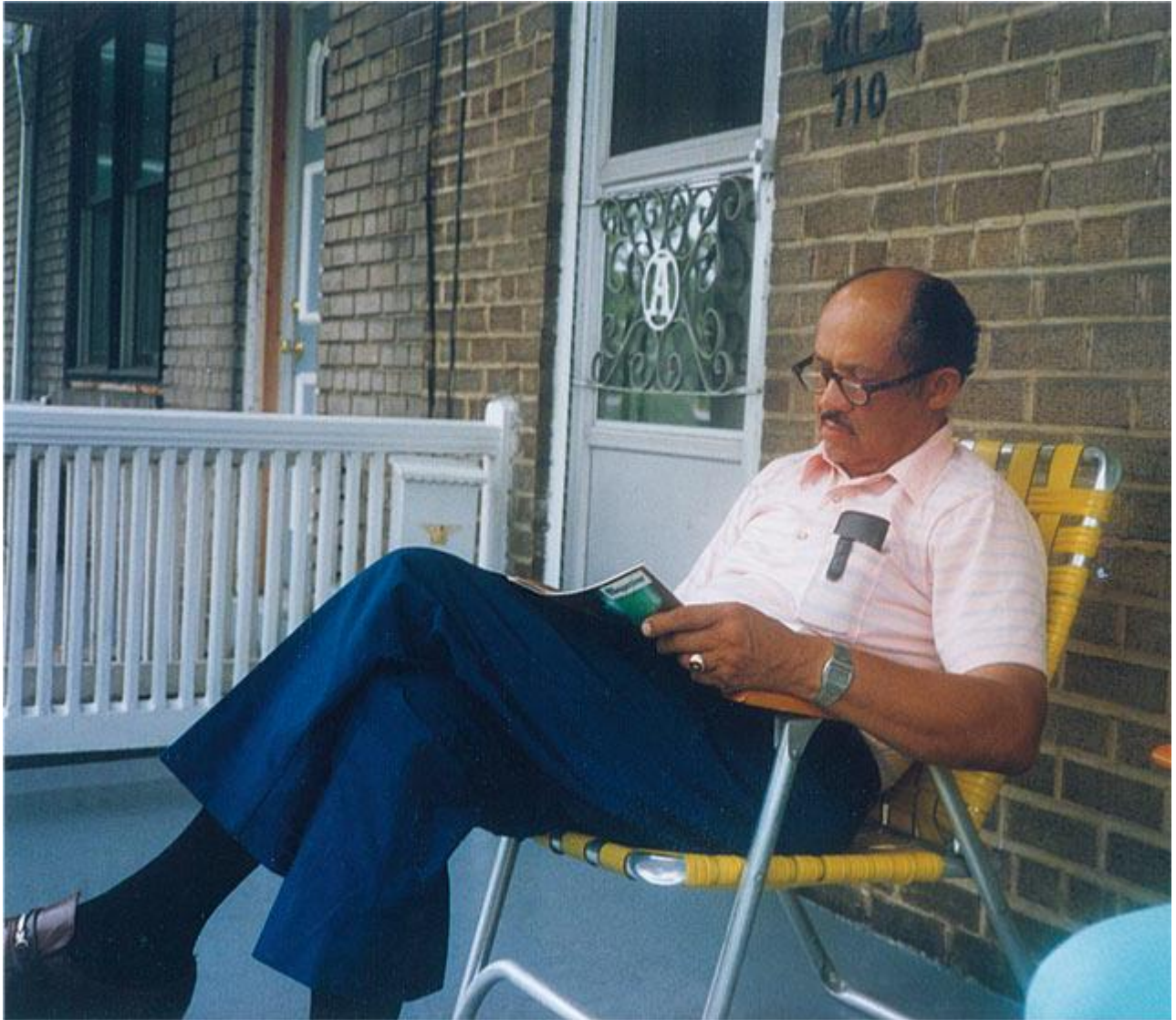
Eugene Allen był pierwszym kamerdynerem w historii Białego Domu zaproszonym przez prezydenta na oficjalny obiad



Król popu z wizytą w Białym Domu; Eugene Allen z tyłu po prawej



Allenowie byli wiernymi widzami teleturnieju *The Price Is Right*



W ciągu blisko półwiecza służenia innym – chwila dla siebie



20 stycznia 2009 roku Eugene Allen, nie zważając na przejmujące zimno w Waszyngtonie, wziął ostatnie okrażenie na swojej zadziwiającej drodze, uczestnicząc – na specjalne zaproszenie prezydenta – w historycznym zaprzysiężeniu Baracka Obamy, pierwszego czarnoskórego prezydenta Stanów Zjednoczonych

**Warto było przez to wszystko przejść?** Może mówił o długiej wędrówce z plantacji w Wirginii, wyzwiskach, jakie go spotykały, kiedy pracował w klubie golfowym; może mówił o stosach naczyń, jakie pozmywał w swoim życiu, o wszystkich bezksiężycowych nocach, kiedy, śmiertelnie zmęczony, wyruszał z Białego Domu w drogę powrotną do siebie. Może mówił o latach sześćdziesiątych, kiedy to wyrostki z jego dzielnicy, z fryzurami afro i znaczkami „Black Power”, zastanawiały się, dlaczego niby nadal pracuje w Białym Domu jako kamerdyner.

Kiedy uroczystość dobiegła końca – kiedy wszyscy zostali już zanurzeni w historii – Eugene Allen wstał, wygładził rękawiczki i ruszyliśmy z powrotem do domu. Sporo ludzi poznało go dzięki artykulowi o nim opublikowanemu tuż po wyborach. Ściskali mu rękę.

Tego popołudnia po powrocie do domu Eugene Allen zasnął w swoim fotelu klubowym. W telewizji szło *The Price Is Right*.

W drugim tygodniu marca 2010 roku wskoczyłem do miejskiego autobusu w Waszyngtonie i pojechałem do szpitala Opatrzności. Wcześniej zadzwonił Charles, żeby mnie powiadomić, że ojciec trafił do szpitala dwa dni temu ze względu na kłopoty z oddychaniem i z biodrem. Kiedy przyszedłem, leżał w łóżku, ale bynajmniej nie spał.

– Pielęgniarki dobrze się mną opiekują – powiedział. – Uważają, że jestem sławny.

Jedna z nich pamiętała artykuły, których był bohaterem; wkrótce wieść rozniosła się po szpitalu i zarówno lekarze, jak i pielęgniarki wpadali, żeby go poznać. Dziwili się, że tyle lat przepracował w Białym Domu. Kiedy Allen zasnął tego dnia, wyszliśmy z Charlesem do holu. Martwiliśmy się, bo wyglądało na to, że staruszek słabnie. W następnych dniach jednak odzyskał siły i zwolniono go do domu. Nie na długo. Któregoś dnia powiedział Charlesowi, że czuje się okropnie. Został przyjęty do szpitala adwentystów w Waszyngtonie i tam 31 marca 2010 roku Eugene Allen, kamerdyner ośmiu prezydentów, wydał ostatnie zmęczone tchnienie.

Minęło zaledwie szesnaście miesięcy, odkąd poznałem Eugene'a Allena i jego żonę Helene, odkąd po raz pierwszy zaprowadził mnie do zaciemnionej piwnicy, w której zgromadził skarby dokumentujące życie w Białym Domu. Dzień po jego śmierci wspomnienia o nim zamieściły gazety w całej Ameryce. Złożono mu piękny hołd w wiadomościach krajowych telewizji.

– Umarł Eugene Allen – mówił Brian Williams w wieczornych wiadomościach NBC, a wizerunki Allena przesuwają się po ekranie. – Niewielu Amerykanów będzie miało kiedykolwiek taki dostęp do historii jak on, i tylko garstka przebywała kiedykolwiek tak blisko władzy. – W tle podniosła muzyka. Williams kontynuował: – Służył najpotężniejszym i najślawniejszym ludziom na świecie. I w krótkim czasie wielu prezydentów zaczynało go traktować jak przyjaciela.

Na świecie też zauważono jego śmierć. Londyński „Independent” nazwał Eugene'a Allena „dyskretnym maszynistą teatralnym, który pomagał trwać przedstawieniu w najważniejszym ze wszystkich politycznym teatrze”. W każdym wspomnieniu pośmiertnym zauważano, że głosował na Baracka Obamę pogrążony w smutku po stracie żony, która zmarła tuż przed wyborami.

**Kilkaset osób przybyło** do Większego Pierwszego Kościoła Baptistów w Waszyngtonie 8 kwietnia 2010 roku, żeby pożegnać Eugene'a Allena. Za ostatnim rzędem na tyłach kościoła w długim szeregu stali agenci Secret Service. Kilku poznało Allena podczas spotkań w Białym Domu w czasach, kiedy był już na emeryturze. Większość przyszła po prostu z szacunku. W pobliżu trumny były szpalery kwiatów. W ławkach siedzieli starsi wiekiem kamerdynerzy i pokojówki. Delores Moaney, która pracowała w Białym Domu w czasach Eisenhowera, wspominała:

– Był takim uroczym człowiekiem. Pracowałam u Eisenhowerów jako pokojówka w Nowym Jorku. Kiedy znalazłam się w Białym Domu, poznałam Gene'a. Od razu zauważało się jego uśmiech.

Pierwszą kobietą pełniącą funkcję mistrzyni ceremonii w Białym Domu była Nancy Mitchell. Dostała tę posadę w 1980 roku. Niekiedy podczas pracy stawała się po prostu kłębkim nerwów, bojąc się, że zrobi coś nie tak jak trzeba.

– Gene, kazał się nazywać Gene, ale nigdy się na to nie zdobyłam, uspokoił mnie. Przyszedł do mnie i powiedział: „Chodź, Nancy, zjemy razem lunch”. Już wcześniej pięknie nakrył dla nas obojga. To był chyba najlepszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Prezydent Obama przysłał list. Odczytał go główny mistrz ceremonii Białego Domu, kontradmirał Stephen W. Rochon: „Jego życie stanowi ważną część amerykańskiej opowieści”, głosił list prezydenta o Eugenie Allenie. Następnie przywoływał dekady pracy kamerdynera w służbie dla kraju i jego „niewzruszony patriotyzm”.

Wielebny Winston C. Ridley mówił o Allenie i wirze historii – światowych wojnach daleko od naszych brzegów, wojnach o równość w naszych granicach.

– To prawda, że niektórzy próbowali napiętnować jego zawód, zawód kamerdynera. Ale

Eugene Allen wzniosł go na poziom doskonałości.

Chór odśpiewał kilka pieśni, m.in. *Jesus on the Main Line* i *Oh Mary Don't You Weep*.

Zanim zamknięto trumnę, zdołałem zobaczyć, w jakim ubraniu pochowano kamerdynera. Był to galowy szary strój wieczorowy. Allen miał białe rękawiczki, równie eleganckie jak te, które nosił czasami na Pennsylvania Avenue 1600, kiedy obsługiwał możnych tego świata. Trumna była przyozdobiona kwiatami. Na karcie przypiętej do bukietu czerwonych róż widniał napis: „Prezydent Obama i Michelle Obama”. Starzy kamerdynerzy i pokojówki, którzy znali Allena wiele lat, powoli wychodzili z kościoła. Na dworze było rześko i słonecznie.

Była to, jak powiedział prezydent Obama, zdecydowanie amerykańska opowieść: młody człowiek wyrwał się z plantacji na Południu, dotarł do stolicy kraju, gdzie z wyjątkowej pozycji śledził zachodzące zmiany niosące zagrożenie i chwałę, gdzie wkroczył z jednego stulecia w drugie i gdzie służył ośmiu prezydentom. A w końcu zobaczył coś, co było niegdyś nie do wyobrażenia: zaprzysiężenie czarnego prezydenta.

A to jeszcze nie wszystko. Latem 2012 roku lokalna organizacja umieściła dom Eugene'a na spacerowym szlaku historycznych miejsc w Waszyngtonie. Jest teraz znany jako „Siedziba Eugene'a Allena”. Ukończono także film o jego życiu, a wśród występujących w nim gwiazd znaleźli się Forest Whitaker i Oprah Winfrey (grający postacie wzorowane na Eugenie i Helene), Jane Fonda, Vanessa Redgrave, Robin Williams, David Oyelowo i Cuba Gooding. Film opowiada całą historię współczesnego ruchu na rzecz praw obywatelskich z punktu widzenia kamerdynera z Białego Domu.

No cóż, Eugene Allen ma kilka całkiem interesujących historii do opowiedzenia Helene.



Forest Whitaker i Oprah Winfrey jako Cecil i Gloria Gainesowie, postacie wzorowane na Eugenie i Helene Allenach





Reżyser Lee Daniels z Oprah Winfrey jako Gloria



Lenny Kravitz, Forest Whitaker i Cuba Gooding jako personel Białego Domu



Odtwarzanie scen segregacji rasowej lat sześćdziesiątych



David Oyelowo jako syn Gainesa, Louis, aresztowany za udział w akcjach *sit-in* w latach sześćdziesiątych



Protestujący oblewani wodą przez policję



Producentka Pam Williams z Charlesem Allenem i kontradmirałem Stephenem Rochonem, pierwszym czarnym głównym mistrzem ceremonii Białego Domu i konsultantem filmu



Robin Williams jako Dwight D. Eisenhower



Allen obsługujący Eisenhowera i gości podczas dyskusji na temat praw obywatelskich,  
ok. 1955





Forest Whitaker z Robinem Williamsem



Czasy Camelotu – James Marsden i Minka Kelly jako para prezydencka Kennedych w Białym Domu



Kamerdyner czyta Caroline Kennedy (Chloe Barach) na dobranoc



John Cusack jako Richard M. Nixon



Liev Schreiber jako Lyndon B. Johnson



Kameryner i prezydent obchodzili urodziny tego samego dnia. W Białym Domu Forda  
czczono uroczyscie obydwu jubilatów



Do Białego Domu wprowadza się nowa rodzina: Carterowie



Kamerdyner i dwóch prezydentów





Pierwsza Dama Nancy Reagan była pod wrażeniem stylu Eugene'a Allena



Alan Rickman i Jane Fonda jako Reaganowie



Helene Allen w kolejce do powitania wymienia uścisk dłoni z prezydentem Reaganem.  
Bardzo polubiła tę fotografię



Kamerdyner w rozmowie z Alanem Rickmanem jako prezydentem Reaganem



Po służbie u ośmiu prezydentów – uroczyste pożegnanie kamerdynera



Kamerdyner wita George'a H.W. Busha i jego żonę Barbarę Bush



Eugene Allen na wprost prezydenta George'a W. Busha podczas spotkania byłych kamerdynerów



Chociaż Eugene Allen nie pracował w Białym Domu za czasów Clintona, często bywał tam zapraszany. Na zdjęciu siedzi obok Hillary Clinton





Sylwetka Whitakera



Oprah Winfrey jako Gloria



Jeden z głosów, dzięki którym prezydent Obama znalazł się w Białym Domu, oddał Eugene Allen

## RUCHOMY OBRAZ

**Latem 2012 roku** kilkadziesiąt wielkich ciężarówek i przyczep przetaczało się przez wąskie ulice Nowego Orleanu, wioząc wszelkiego rodzaju sprzęt filmowy. Była tam aparatura do robienia deszczu na planie, kiedy scena wymagała deszczu. Były reflektory tak potężne, że mogły sprawić, iż dzięki nim nawet o północy wydawało się, że za oknem pokoju jest dzień. Kierowcy parkowali na rozległym terenie zwanym „bazą”. Miał być on przez następnych trzydzieści siedem dni miejscem pobytu gwiazd, producentów oraz reżysera *Kamerdynera*, ważnego filmu reżyserowanego przez nominowanego do Oscara Lee Danielsa. Ieś tygodni wcześniej otwarto biuro produkcji na Prytania Street. Aktorzy i aktorki zaangażowani do projektu wzbudzali zainteresowanie po obu stronach Atlantyku. Była to niewątpliwie gwiazdorska obsada, eklektyczny zbiór zdobywców Oscara i nominowanych do tej nagrody. Znaleźli się wśród nich Forest Whitaker, Oprah Winfrey, Jane Fonda, Robin Williams, Cuba Gooding, David Oyelowo, Mariah Carey, Vanessa Redgrave i Terrence Howard.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem te szeregi ciężarówek i przyczep w bazie, wyobraziłem sobie, że swoje centra ma tu kilka produkcji filmowych.

– Nie, to wszystko dla *Kamerdynera* – wyjaśnił mi Evan Arnold, asystent producenta.

Zasugerował, żebym się przeszedł pomiędzy rzędami ciężarówek; radził, żebym dobrze przyjrzał się napisom na każdej z nich. Tytuł filmu, *Kamerdynier* – zaczerpnięty z mojego artykułu – wypisany był na wszystkich. Znajdowaliśmy się w Nowym Orleanie i Evan pozwolił sobie na szeroki uśmiech mający oznaczać: „Witajcie w Hollywood”. Scena naprawdę imponująca.

Jak powszechnie wiadomo, podczas realizacji filmu – bez względu na temat – trzeba pokonać wiele trudności. Próba przeniesienia na ekran opowieści o czarnoskórym mężczyźnie, który ponad trzydzieści lat służył jako kamerdynier w Białym Domu, zmierzyła się z dodatkowymi potężnymi wyzwaniami, co wpisuje się w historię czarnych w kinie, której zarys zamierzam tu zaprezentować. Tę narrację można zestawić – rozpatrując ją z historycznego punktu widzenia – z walką o równe prawa. W wielu aspektach walka o kino rozpoczęła się – jak część życia Eugene’a Allena opowiedziana w tym filmie – także w Białym Domu.

**W 1914 roku reżyser filmowy** D.W. Griffith przystąpił do nakręcenia filmu na podstawie powieści Thomasa Dixona *The Clansman* [Członek Ku-Klux-Klanu]. Powieść była wredna; Dixon nie ukrywał, że jest rasistą, jego książka przywoływała wszystkie, jakie tylko można sobie wyobrazić, stereotypy na temat czarnych obowiązujące w tamtych czasach. Akcja rozgrywa się po wojnie domowej w okresie Rekonstrukcji; występujący w powieści czarni grabią, rzucają się na bezbronne białe kobiety, są do cna zepsuci, aż wreszcie ze stanu dzikości wydobywa ich „bohaterski” Ku-Klux-Klan. Griffith – który urodził się w Kentucky i wciąż nie pogodził się z faktem, że jego ojciec był przegranym żołnierzem Konfederacji – kręcąc ten film, zachłystywał się powieściową miksturą.

Trochę ponad rok od rozpoczęcia produkcji film Griffitha, zatytułowany *Narodziny narodu*, miał premierę w Los Angeles. Kinomani siedzieli oszołomieni, ze szklistymi oczami. Kiedy film się skończył, wierzyli, że obejrzeni epopeję. Aplauz był długi i ogłuszający. Griffith przeciął spekulacje, czy jest w sali, wchodząc na scenę – starzejący się gnom. „Pojawił się z lewej strony i postąpił parę kroków: drobna, krucha postać zagubiona na olbrzymim łuku proscenium – czytamy w relacji. – Nie uklonił się, nie uniósł rąk, nie wykonał żadnego gestu,

tylko po prostu stał, pozwalając, by kolejne fale wiwatów i aplauzu przelewały się przezeń niczym wielka fala rozbijająca się o skałę”<sup>1</sup>.

Chodzenie do kina było w tym czasie czymś stosunkowo nowym, a ten szczególny film wzbudził ogólnonarodowe zainteresowanie i odniósł olbrzymi sukces kasowy. Wieści o gorącym przyjęciu rozprzestrzeniły się jak kraj długi i szeroki dzięki telegramom, omówieniom prasowym i magazynom filmowym. Spowodował również powiększenie się szeregów Ku-Klux-Klanu, którego członkowie widzieli w tym obrazie ni mniej, ni więcej tylko symbol swoich własnych uczuć i wierzeń. Jednakże film zaniepokoił działaczy National Association for the Advancement of Colored People [Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Awansu Ludności Kolorowej], które zorganizowało bojkot. Niektóre miasta, bojąc się rozruchów, odmówiły projekcji. Joel Spingarn, działacz NAACP, powiedział kierownictwu tej organizacji, że *Narodziny narodu* pomogły „wyzwolić energię i uzyskać wsparcie kolorowej ludności tego kraju, jako że zaatakowany został ich charakter i ich miejsce w historii”<sup>2</sup>. Autorzy artykułów redakcyjnych w publikacjach murzyńskich ostro krytykowali film, a po wyjściu z redakcji uważnie patrzyli, kto za nimi idzie, w obawie przed atakiem.

Dixon, autor powieści, dotarł do prezydenta Woodrowa Wilsona, chełpiąc się popularnością opartego na niej filmu. W prezydencie, także pochodzącym z Południa, znalazł wdzięcznego słuchacza. Woodrow Wilson zdecydował się na projekcję w Białym Domu i w ten sposób *Narodziny narodu* stały się pierwszym filmem tam wyświetlonym. Wilson oglądał go, szeroko otwierając oczy. Człowiek wykształcony, który edukację zdobył na uniwersytecie w Princeton, pierwszy prezydent z tytułem doktora filozofii, a jednak przyjął kinową wizję całkowicie bezkrytycznie. Kiedy pojawiły się napisy końcowe, radośnie wykrzyknął, że nigdy nie widział niczego podobnego. „To jak pisanie historii błyskawicami – oświadczył. – Żałuję tylko, że to wszystko jest tak strasznie prawdziwe”<sup>3</sup>.

Tak więc film piętnujący czarnych Amerykanów został pochwalony w samym Białym Domu przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kino dla czarnych i o czarnych jako forma sztuki oddalone było o lata świetlne.

Czarni Amerykanie, świadomi potęgi kinowego przekazu, podjęli we wczesnych latach dwudziestego wieku wysiłki, by wprowadzić na ekran własną wersję. W 1915 roku George i Nobel Johnsonowie utworzyli Lincoln Motion Picture Company [Przedsiębiorstwo Filmowe im. Lincolna]. Zamierzali opowiadać historie o czarnoskórych Amerykanach i stworzyć przeciwwagę dla popularności *Narodzin narodu* oraz filmów typu *Chata wuja Toma*, *How Rastus Got His Turkey* czy *Coon Town Suffragettes*. Ale plany filmowców pokrzyżowała choroba: epidemia grypy w kraju spowodowała pustki w kinach i Johnsonowie musieli zamknąć interes.

Niedługo po nich pojawił się Oscar Micheaux – syn byłych niewolników, który zrobił karierę w show-biznesie. Zaczynał od straganu z pastą do butów, następnie pracował jako pulmanowski bagażowy na kolei, jeszcze później był właścicielem ziemskim na amerykańskim zachodzie. Zaczął pisać; najpierw artykuły do gazet, następnie powieści autobiograficzne, wśród nich powieść zatytułowaną *The Conquest: The Story of a Negro Pioneer* [Podbój. Historia murzyńskiego pioniera]. Miał dostatecznie dużo tupetu i samozaparcia, by sprzedawać ją „od drzwi do drzwi”. Ale chciał także robić filmy i kiedy nikt nie podjął się sfilmowania jednej z jego powieści, *The Homesteader* [Osadnik], Micheaux zdecydował się sam wyreżyserować i wyprodukować jej adaptację. Szybko sobie skalkulował, że zdobędzie sponsorów, przekonując ich, że film o czarnych Amerykanach i dla czarnej widowni może przynieść zyski. (Dzisiaj czarnoskórzy filmowcy, nie wyłączając Lee Danielsa, posługują się tą samą strategią). Chcąc zapełnić miejsca w kinach, Micheaux pisał własne teksty reklamowe: „Każdy czarnoskóry mężczyzna i każda czarnoskóra kobieta, którym leży na sercu dobro ich rasy, powinni wyzbyć się

sceptycyzmu co do tego, by Murzyn mógł zostać gwiazdą filmową, i pójść do kina”<sup>4</sup>.

W latach dwudziestych Oscar Micheaux był najbardziej płodnym czarnoskórym filmowcem w kraju, jednak środowisko było tak nieliczne, że prawie niewidoczne. Nie wahał się wywoływać kontrowersji, kręcąc filmy o linczach, krzyżowaniu ras i machlojkach w murzyńskim kościele. Uważany za mającego oko do wyławiania nieznanych talentów promował Lorenza Tuckera jako „czarnego Valentino” i dał Paulowi Robesonowi jego pierwszą filmową rolę w swoim *Body and Soul*. Należy uznać za cud, że w tych trudnych czasach nierówności rasowej Micheaux – któremu czego jak czego, ale pychy, zdaje się, nie brakowało – zdołał wyprodukować ponad czterdzieści filmów. W większej części były one wolne od stereotypów, choć rzadko dałoby się któryś uznać za osiągnięcie artystyczne – to raczej charakter Micheaux imponował heroizmem.

Innym filmom tego okresu nie udawało się uniknąć pułapki stereotypu, kiedy rzecz dotyczyła czarnych. Czarne kobiety pokazywano albo jako pokojówki, albo małomówne nianie. Wiele rodzinnych scenek znajdowało odbicie na ekranie.

W 1933 roku starzejący się artysta wodewilowy Will Mastin wepchnął jednego ze swoich małych tancerzy do studia dźwiękowego na Brooklynie. Mały tancerz Sammy Davis jr. dostał główną rolę w filmie *Rufus Jones for President*. (Powrót do Białego Domu!) W tym krótkim musicalu, w którym występowała również Ethel Waters, dziecko śni, że zostało prezydentem. Przed oczami widza otwiera się kraina snu: nasz milusiński podskakuje, otoczony piosenkarzami i tancerzami, padają żarty o rozdawaniu za darmo melonów i bitek wieprzowych. W tym śnie przy drzwiach znajduje się napis: TU GŁOSUJ NA RUFUSA JONESA – DWIE BITKI WIEPRZOWE ZAWSZE GDY ZAGŁOSUJESZ. Kiedy mały Rufus mija drzwi Senatu, widzi inny napis: SPRAWDŹCIE SWOJE BRZYTWY. Dziecko we śnie zostaje prezydentem. I oczywiście ma wiceprezydenta: jest nim jego mamusia! W prawdziwym życiu, odległym od snu, sceniczne występy małego Sammy’ego Davisa okazywały się niekiedy równie przewrotne. Czasami występował na scenie w czarnym makijażu. W ten sposób był czarnym dzieckiem udającym białego człowieka w czarnym makijażu – wszystko dla rozbawienia białej widowni w kinoteatrze.

Nawet dorośli czarnoskórzy aktorzy od czasu do czasu angażowani w latach czterdziestych do pracy w filmie – Lena Horne, Dorothy Dandridge, Eddie „Rochester” Anderson – musieli znosić upokarzające afronty; niektórzy nigdy nie doszli po nich do siebie. Mimo że kobiety o jaśniejszej skórze, takie jak Horne, wydawały się bardziej strawne dla białej widowni, bynajmniej nie miały łatwo. W 1954 roku Dorothy Dandridge za rolę w *Carmen Jones* jako pierwsza czarnoskóra kobieta otrzymała nominację do Oscara dla najlepszej aktorki. Ale rozgłos wydawał się złośliwym żartem: mimo uznania studia nie przysyłały jej ambitnych scenariuszy ani też biali aktorzy nie dopominali się, żeby im partnerowała. W końcu zniknęła z ekranu; cierpiała na depresję, uzależniła się od leków. Zmarła zrujnowana w 1965 roku. Lena Horne lepiej dała sobie radę w swoich relacjach z Hollywood niż Dandridge po prostu dlatego, że przez jakiś czas w Hollywood nie można było jej spotkać (powróciła na ekrany w 1969 roku). W latach pięćdziesiątych była na czarnej liście zarówno w kinie, jak w telewizji. Nikt w całym Hollywood nie zakwestionował tej banicji dla Horne; niektórzy za przyczynę ostracyzmu uważali jej przyjaźń z Paulem Robesonem, czarnoskórym aktorem i śpiewakiem, działaczem ruchu praw obywatelskich.

W umyśle dziecka filmy niekoniecznie nabierają głębokiego socjologicznego znaczenia. Dziecko idzie do kina, żeby się zachwycić i szukać bohaterów. Przyszły pisarz James Baldwin nie różnił się od innych dzieci, które dorastały wpatrzona w ekranowych idoli. „Nie wiedziałem jeszcze – wspomina wielki pisarz siebie jako dwunastolatka – że dosłownie każda społeczność

czarnych w Ameryce ma kino, a niekiedy w tamtych czasach raczej kinoteatr, o nazwie Lincoln albo Booker T. Washington, nie wiedziałem też, dlaczego tak jest, podobnie jak nie wiedziałem, dlaczego Cotton Club nazywa się Cotton Club”<sup>5</sup>.

Baldwin doszedł w końcu do wniosku, że kino jest nierozzerwalnie sprzężone z amerykańską psychiką. Jest celem cotygodniowych wypraw, aktualnym systemem wierzeń. Amerykanie chodzą do kina, bo ono żywi ich zbiorową wyobraźnię. (W moim rodzinnym mieście Columbus w stanie Ohio Lincoln Theatre – obecnie cudownie odnowiony – znajdował się w poczesnym miejscu na Long Street).

A jednak skoro nie było równości na ulicach – jak dowodzą uczestnicy marszów i protestów następnej dekady, ci w Birmingham i Selmie, nocni jeźdźcy i pierwsi uczniowie lub studenci przełamujący monopol białych w szkołach i na uczelniach – jak mogła istnieć równość wyboru nakręcanych filmów? Miejsca zarówno przed, jak i za kamerą były niedostępne dla czarnych, z wyjątkiem filmów z Harrym Belafonte czy Sidneyem Poitierem. Kiedy lata sześćdziesiąte wychynęły zza węgła, objawił się cały porządek chronologiczny tej epoki z jej postaciami odgrywającymi przewodnią rolę – Martinem Lutherem Kingiem, Malcolmem X, Kennedymi, Belafontem, Poitierem (obydwaj aktorzy dostarczali pieniądze na kaucje za protestujących na Południu) – i coś zaszło w Hollywood Hills: ludzie kierujący przemysłem filmowym zorientowali się, że Ameryka zostawia ich z boku. Narodziny narodu, w porządku – ale z afro i programem Czarnych Studiów, ustawami o prawach obywatelskich i męczennikami. Niewątpliwie wyszło na to, że hollywoodzcy potentaci przegapili cały ruch. Właśnie dlatego historia Harry’ego Belafonte i Sidneya Poitiera – znających walkę tych artystów, którzy polegli na drodze za nimi – ma taką moc: oni dokonali wyłomu, zanim zapłonęły ulice. Sama ich obecność musiała kłuć sumienie Hollywood, miejsca na tyle odległego od zbrodniczych miasteczek głębokiego Południa, że zdawało się leżeć w innym świecie.

Można sobie tylko wyobrazić zdumiewającą, a jednak samotną trajektorię Sidneya Poitiera, pierwszego czarnoskórego gwiazdora w hollywoodzkim systemie. Poitier doskonalił swoje umiejętności w Teatrze Murzynów Amerykańskich w Harlemlu w latach czterdziestych; jego kolega Harry Belafonte grał gwiazdorskie role w *Carmen Jones* i *Wyspie w słońcu*. Poitier wyruszył na zachód i początkowo grywał w filmach małe rólki, aż nastąpił skok w jego karierze, kiedy zagrał – u boku Tony’ego Curtisa – jedną z głównych ról w filmie *Ucieczka w kajdanach* i jako pierwszy czarnoskóry otrzymał nominację do Oscara w kategorii najlepszy aktor.

Kartkując wstecz amerykański kalendarz i przyglądając się roli, jaką Murzyni – popularny termin wtedy używany – odgrywali w społeczeństwie w 1963 roku, natrafiamy na niejednego zatrzymany w kadrze moment wart uwagi. W owym roku – kamerdyner Eugene Allen pracował już w Białym Domu jedenaście lat – przypadała setna rocznica zniesienia niewolnictwa w Ameryce. Z okazji Proklamacji Emancypacji odbyło się przyjęcie w Białym Domu. Nie wywołało jednak zbytniego zainteresowania w mainstreamowych mediach, których lunety skierowane były na Birmingham w stanie Alabama, gdzie 15 września Ku-Klux-Klan podłożył bombę w kościele baptystów na Sixteenth Street w proteście wobec porozumienia zawartego między miastem a demonstrantami walczącymi z segregacją rasową za pomocą marszów i bojkotów. Cztery dziewczynki ubrane odświętnie do kościoła zginęły. Jako ofiary tej walki dołączyły do takich postaci, jak Emmett Till, Medgar Evers oraz inni szeregowi żołnierze marszu ku równości. Stały się smutnym symbolem walki o równe prawa w Ameryce. Rzeczywista Ameryka była po prostu zbyt niebezpieczna dla hollywoodzkich fabułek.

W tym samym roku Sidney Poitier pojawił się w *Lilies of the Field* w roli Homera Smitha, wędrownego bezrobotnego budowlańca, który pomaga grupie niemieckich zakonnic wybudować kaplicę. Film miał premierę na dużym ekranie. A dla wielu rodzin – szczególnie

rodzin murzyńskich, łącznie z moją – stał się dorocznym żelaznym punktem programu telewizji rodzinnej; ten wyjątkowy film z czarnoskórym odtwórcą w roli głównej stał się dla jego widzów rytualnym przejściem. Trochę jak *Czarnoksiężnik z krainy Oz* w wielu innych domach.

Scenariusz *Lilies of the Field* powstał na podstawie liczącej sto dwadzieścia siedem stron uroczej nowelki Williama E. Barretta pod tym samym tytułem. „New York Times Book Review” nazwał tę wydaną w 1962 roku książkę „współczesną baśnią”. Baśń czy nie baśń, czarna Ameryka widziała teraz na ekranie kogoś, kto się nie kłania, kto jest sam sobie panem, kto swobodnie przemierza świat. Za rolę w tym filmie Poitier otrzymał nominację do Oscara dla najlepszego aktora. Jego kontrkandydatami w tej kategorii byli Albert Finney, Richard Harris, Paul Newman i Rex Harrison.

Poitier nie ośmielał się marzyć, że mógłby wygrać, i kiedy Anne Bancroft w wieczór Oscarów otworzyła kopertę i wyczytała jego nazwisko, rozbrzmiało ono echem daleko poza audytorium w Santa Monica. Nikt nie był bardziej zdziwiony niż sam Poitier. To był przełom w historii kina, ale także balsam na ból ulicy. „Długa droga prowadziła do tej chwili”<sup>6</sup> – mówił Poitier; z podium padały słowa, które zdawały się obejmować całą rasę. „My, ludzie o czarnej skórze, dokonaliśmy tego – pisał później o tym wieczorze. – Potrafiliśmy. Czasami zapominamy, zmuszeni stawić czoło nieopisanym trudnościom, że potrafimy nieskończenie więcej, niż ta kultura jest nam skłonna przyznać”<sup>7</sup>.

Czy ta chwila wróżyła nadejście lepszych dni dla czarnoskórych aktorów Hollywood? Przeskoczmy naprzód: dopiero w 2001 roku ujrzeliśmy innego czarnoskórego aktora, Denzela Washingtona, ze statuetką Oscara, którą otrzymał za magnetyczną i kontrowersyjną rolę skorumpowanego detektywa w *Dniu próby* – niemal cztery dekady po historycznym zwycięstwie Poitiera. Wymowny fakt. Czarni, którzy od dawna mieli swoje zdanie na temat amerykańskiego kina, nie potrafili uwierzyć, że długa przerwa między Poitierem a Washingtonem była tylko niefortunnym przypadkiem. W tej przerwie mieściły się pominięte role z przeszłości, jak Paula Winfielda, który w 1972 roku wystąpił w filmie *Sunder*, u boku równie zadziwiającej Cicely Tyson; Ivana Dixona w 1964 w *Nothing But a Man*; Jamesa Earla Jonesa w *The Great White Hope* w 1970. Chyba wiele osób w Ameryce, szczególnie czarnoskórych, trzymało mocno zaciśnięte kciuki w 1993 roku, mając nadzieję, że wygra Denzel Washington, nominowany za rolę w *Malcolmie X*. Nadzieja nie była bezpodstawna: reżyser Spike Lee stoczył długą batalię, żeby nakręcić ten film, a Washington za swoją rolę otrzymał w tamtym sezonie wiele brązowych nagród. Ale nie Oscara.

Jednakże historia okazała się dość łaskawa: tego wieczoru, kiedy Washington dostał Oscara za *Dzień próby*, nagroda dla najlepszej aktorki przypadła Halle Berry za rolę, którą uważano za kontrowersyjną. Grając biedną kobietę z Południa, żonę skazanego na śmierć mężczyzny, która ma romans z białym, Berry w jednej ze scen rozbiera się do naga przed kamerą; wiele czarnych aktorek potępiło jej decyzję o przyjęciu tej, ich zdaniem, poniżającej roli.

Do dziś toczy się dyskusja na temat braku pełnokrwistych bohaterów dla wielu utalentowanych czarnoskórych aktorów; wytwórnice produkują znikomą liczbę mainstreamowych filmów z nimi w rolach głównych. Jeśli chodzi o czarnych reżyserów, to uznanie Akademii jest naprawdę śladowe. W całej historii amerykańskiego kina tylko dwóch nominowano do Oscara; byli to John Singleton za *Chłopaków z sąsiedztwa* oraz Lee Daniels za *Hej, skarbie* (na podstawie powieści Sapphire *Push*).

Warto zauważyć – kierując kamerę wstecz na lata sześćdziesiąte – że historyczne osiągnięcia Sidneya Poitiera w filmie współgrały z gwałtownym przyspieszeniem ruchu na rzecz praw obywatelskich. Lawina ruszyła i nie można jej było zatrzymać. Kamera filmowa nie przestawała się kręcić i nie traciła z pola widzenia Poitiera, co pozwalało czarnoskórym widzom



oczekiwać z nadzieją zmiany ich wizerunku na taśmie celuloidowej.

W roku 1967 Poitier pojawił się w dwóch szeroko dyskutowanych filmach: *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad* i *W upalną noc*. Oba odcisnęły głębokie piętno, szczególnie na podatnych umysłach wielu białych widzów żyjących w narodzie podzielonym rasowo. Pokazały, co znaczy być czarnym, który stąpa po niepewnym społecznym gruncie w Ameryce dążącej do integracji. Poitier aktor dobrze to wyczuwał. Sztuka nie naśladowała życia. To życie przeobrażało sztukę.

W filmie *W upalną noc* Poitier gra policjanta z Północy, który utknął w Missisipi. Podczas pobytu tam daje się namówić na pomoc w rozwiązaniu sprawy miejscowego morderstwa. Zanim rozpoczęto zdjęcia – pal diabli prawdopodobieństwo – Poitier powiadomił reżysera Normana Jewisona, że nie zamierza pracować we wrogo nastawionym Missisipi. W końcu działacze na rzecz praw obywatelskich bywali w tym stanie zabijani. Tak więc produkcja przeniosła się do Illinois i Tennessee. Niemniej kręcąc w Tennessee, Poitier, usłyszawszy parę plugawych wyzwisk od ultrakonserwatystów, rozpuścił wieść, że śpi z pistoletem pod poduszką.

Innym filmem Poitiera z tego roku było *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad*. Romans czy małżeństwo między ludźmi różniącymi się kolorem skóry stanowiły wciąż potężne tabu. Nawet aluzja o międzyrasowym seksie uchodziła w filmie za ryzykowną. Trudno więc przecenić, jak nowatorski, nawet radykalny wydawał się w roku 1967 film *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad*. Był to film mainstreamowy, przedstawiający amerykańskiej publiczności zakazany temat międzyrasowego seksu. Akcja toczy się wokół czarnoskórego mężczyzny (Poitier) i jego dziewczyny (granej przez Katharine Houghton), która musi powiedzieć swoim rodzicom (legendy kina Spencer Tracy i Katharine Hepburn), że wychodzi za mąż za czarnego mężczyznę, za Murzyna. Następnego roku, parę dni wcześniej nim pokazano transmisję z gali oscarowej, naród usłyszał w wiadomościach o zamachu na Martina Luthera Kinga w Memphis. Gniew opanował wszystkie miasta Ameryki. *Zgadnij, kto przyjdzie do Białego Domu*. Jedna przecznica dzieliła uczestników marszu protestacyjnego od Pennsylvania Avenue 1600. (Kamerdynerzy i pokojówki, wśród nich Eugene Allen, widzieli ich wyraźnie z okien na górze). Tego roku Komisja Kenera, powołana, by zbadać zamieszki w 1967, wyciągnęła wniosek, że „Ameryka podąża w kierunku dwóch społeczeństw, czarnego i białego – oddzielnych i nierównych”<sup>8</sup>. Hollywood – nie było to tak subtelnie ujęte w Raporcie Kenera – przyczyniło się do utrwalenia takiego społeczeństwa.

Jakie było w tym wszystkim miejsce Sidneya Poitiera? Wielu, szczególnie tych powiązanych z ruchem Black Power, uważało, że jest zbyt uległy wobec Hollywood, przyjmując takie role, jak w *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad*. Ale był probierzem dla czarnej Ameryki – od kamerdynerów z Białego Domu do robotników z fabryk, od nauczycieli do mistrzów sportu cieszył się ogromnym szacunkiem. Niemniej dynamika postrzegania Poitiera przez białych i czarnych powodowała żywe dyskusje u fryzjera i przy rodzinnym stole w kręgach czarnej Ameryki. Znalazło to również wyraz w emocjonalnej scenie z późnych lat sześćdziesiątych w *Kamerdynerze*. Rodzina – Cecil (wzorowany na kamerdynerze Eugenie), jego żona Gloria oraz Louis, ich syn buntujący się przeciwko wszystkiemu, za czym opowiada się ojciec – siedzi przy obiedzie wokół stołu. Gloria właśnie powiedziała Louisowi, że obejrzała niedawno *W upalną noc* z Poitierem.

LOUIS

Sidney Poitier to wyobrażenie białych o nas.

CECIL

Ale ten film wywołał walkę czarnych o prawa równości.

LOUIS

W sposób akceptowalny dla białych.<sup>9</sup>

Hollywood nie mógł ignorować faktu, że takie odczucia znajdują wyraz w niepokojach na ulicy. W Los Angeles – światowej stolicy kina – społeczność Watts wszczęła rozruchy 11 sierpnia 1965 roku. Zginęły trzydzieści cztery osoby.

„Los Angeles Times”, gazeta w owym czasie bogata i gruba, nie miała ani jednego czarnego reportera na pełnym etacie. Zagonili więc czarnego posłańca na scenę wypadków, każąc mu robić notatki. W Watts – dzięki relacji filmowej – świat mógł śledzić bolesny lament wobec nierówności, który ogarniał cały kraj. Filmowcy krainy słońca, reagujący na ten przeskok czasu spazmatycznymi próbami wyparcia, wydawali się złapani w pułapkę. Kino pukało do ich drzwi. Reżyserzy produkowali wysokobudżetowe gnioty typu *Doktor Dolittle*, gdy ogień płonął w niewielkiej odległości od studiów.

Natomiast uwagi umknął, jako etap kina multikulturowego, eksperymentalny okres tzw. *blaxploitation films*. Począwszy od lat siedemdziesiątych, filmy te wyświetlano w miejskich kinach na terenie całego kraju. Dziś wiele z nich robi wrażenie staroświeckich i komicznie retro. Istotnie miały niskie budżety, ale emanowały podskórną energią: gwiazdom tych filmów, tak mężczyznom, jak kobietom, na pewno trudno było zarzucić służalczość czy potulność. Byli agresywni, pewni siebie, arogancy. Byli buntownikami nie bez powodu. Na ekranie ich fryzury afro rozwiewały się na wietrze. Nosili szerokie dzwony. W ich dialogu – „białas”, „Hej, brachu”, „człowieku”, „kapujesz” – pobrzmiwała gadka z najbliższego rogu miejskiej ulicy. Czarni widzowie dostali nagle bohaterów, którzy wyglądali jak oni, pędzili więc do kina, żeby obejrzeć filmy takie jak *The Mack*, *Foxy Brown*, *Shaft*, *Truck Turner*, *Cleopatra Jones* i *Super Fly*: ten ostatni miał ścieżkę dźwiękową Curtisa Mayfielda, która stała się klasykiem. Filmy zapewniały również pracę klanowi czarnych aktorów, którzy korzystali z okazji – byli to między innymi Calvin Lockhart, Ron O’Neal, Bernie Casey, Julius Harris, Sheila Frazier, Richard Pryor, Pam Grier i Billy Dee Williams.

Po czym w świecie czarnych w kinie zdarzyło się coś bardzo dziwnego. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych nastąpiła flauta. Czarni zaczęli znikać z ekranu. Mijały lata, a szeregi utalentowanych czarnoskórych aktorów musiały imać się innych zajęć albo dobijać się o pracę w telewizji. Wydawało się, że w tzw. liberalnym Hollywood nawet temat czarnych w kinie jest tabu. Redakcja magazynu „People” myślała inaczej. W artykule *Czarni w Hollywood. Gdzie oni wszyscy się podziali?* sprawa postawiona została jasno i nie można jej było dłużej ignorować. Artykuł, zjadliwy i kategoryczny, oskarżał, że czarni znaleźli się w Hollywood na „białej liście”. (Ten termin oczywiście był grą słów, nawiązującą do niesławnej „czarnej listy”, określającej członków hollywoodzkiej społeczności, których nie zatrudniano w latach pięćdziesiątych ze względu na rzekome sympatie komunistyczne). Ci czarni aktorzy, którzy zgodzili się, by ich zacytować w artykule, wyrażali zdumienie, że po spektakularnym sukcesie telewizyjnego serialu *Korzenie* z 1977 roku – opowiadającego historię czarnej rodziny od niewolnictwa do wolności w Ameryce – nie nastąpił żaden postęp w ich karierze. Hollywoodzki oddział NAACP – tej samej organizacji, która wystąpiła przeciwko filmowaniu *Narodzin narodu* za czasów prezydentury Woodrowa Wilsona – przyłączył się do protestu i również zaczął zabierać głos w celu zwrócenia uwagi na trudną sytuację czarnych aktorów.

W kolejnych latach obecność czarnoskórych filmowców i aktorów była tylko trochę bardziej zauważalna. I to w dużej mierze dzięki kinu niezależnemu, głównie filmom Spike’a Lee. W 1986 roku Lee wyreżyserował *Ona się doigra*, a trzy lata później *Rób, co należy*, swój

pierwszy nowatorski film o napięciach rasowych na Brooklynie. Abstrahując od filmów Lee, kino niezależne często, z definicji, nie przynosi takiego zysku, jakiego oczekiwałyby duże studia.

**Długie i rozległe dysputy** o związkach pieniędzy i filmu przenoszą nas do czasów magnatów zeszłego stulecia. Louis B. Mayer i Samuel Goldwyn chcieli robić filmy przynoszące zysk. Jak to wielu w Hollywood lubi powtarzać: „Nie ma zysku, nie ma show”.

Kiedy na kinowym horyzoncie pojawia się film amerykański z obsadą w większej części czarną – albo lepiej film tematyczny, gdzie na czarnych spoczywa ciężar narracji – dyskusja staje się gorąca. Czy publiczność to kupi? Czy trzeba będzie pokazywać go tylko w miastach? Zawsze istnieje nadzieja szerszego oddźwięku, jak miało to miejsce w przypadku *Birda* Clintona Eastwooda, w którym wystąpił późniejszy odtwórca tytułowej roli *Kamerdynera* Forest Whitaker. Co do problematyki, niewolnictwo jest tematem, którego filmowcy jednomyślnie unikają. Mieliśmy *Amistad* Stevena Spielberga, film o buncie niewolników i epokowym procesie. Był to poruszający dramat, z porywającymi kreacjami Djimona Hounsou i Anthony’ego Hopkinsa. Łączny dochód na terenie kraju wyniósł czterdzieści pięć milionów dolarów brutto. Nie do pogardzenia, ale daleko mniej, niż można by oczekiwać od filmu Spielberga. Wielu zatem doszło do wniosku, że sceny na ekranie – tonący niewolnicy, zabici strzałami, związani – są zbyt okrutne, by dało się na tym wysiedzieć. Z podobnymi zarzutami spotkał się *Django* Quentina Tarantino, ale ten film stał się zdecydowanym hitem i został nagrodzony.

Czasami film z afroamerykańskim wątkiem jest tak niezwykle, tak zdumiewający, że establishment ignoruje niecną gadaninę o wpływach brutto. Jednym z nich był film *Daughters of the Dust*, nakręcony w 1991 roku, którego akcja toczy się w latach dwudziestych w Karolinie Południowej. Wyreżyserowany przez Julie Dash, opowiada o grupie kobiet i ich marzeniach o wyjeździe. Ma w sobie rozmach gorączkowego snu. Nie pojawiło się w nim ani jedno wielkie hollywoodzkie nazwisko. Obok niespotykanej eteryczności, jest w tym filmie coś jeszcze bardziej zdumiewającego: to pierwszy w Ameryce film wyreżyserowany przez czarną kobietę, który wszedł do szerokiej dystrybucji. Sprzedaż biletów nie była rekordowa. Ale w 2004 roku Biblioteka Kongresu poleciła umieścić *Daughters of the Dust* w Krajowym Archiwum Filmowym. Sztuka niekoniecznie zapełnia miejsca w kinach, ale bardzo często bywa zarówno szlachetnym, jak godnym podziwu przedsięwzięciem. Filmy z niebotycznym budżetem poszły w zapomnienie; skromny i kameralny film Dash będzie pamiętany.

W kategorii filmów, które będą pamiętane, choć niekoniecznie zyskowne, jest *Czarnoksiężnik z krainy Oz* w reżyserii wielkiego Sidneya Lumeta z olśniewającą Leną Horne jako Dobrą Czarownicą. Musiało się to wtedy wydawać wspaniałym pomysłem: czarna obsada przekształcająca wizerunek ukochanego klasyka. Szkodę filmowi – sprawiającemu frajdę w oglądaniu, choć trochę zbyt ekstrawaganckiemu – w ostatecznym rozrachunku przyniosło nietrafne obsadzenie Diany Ross. Ale czarnoskórzy widzowie zachwycali się wysokobudżetowym musicaliem. Ile marzeń zrodziło się w podupadłych śródmiejskich dzielnicach po obejrzeniu tego filmu? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

Filmowcy są w końcu największymi hazardzistami. Dorzucie do tego hazardu element rasowy, a przewidywania staną się jeszcze bardziej ryzykowne. Tyler Perry ma rzesze wielbicieli, ale jest też wielu takich, którzy nie pędzą oglądać jego komediowych występów. Nie da się jednak zaprzeczyć, że odkrył złotą żyłę: filmy z głównie czarną obsadą tak zabawne, że reżyser z producentem śmieją się przez całą drogę do banku. Perry ma genialną maszynę marketingową: czarnoskóre religijne panie mówią o nim z bogobojną czcią i po niedzielnym nabożeństwie mkną do multiplexu obejrzeć jego ostatnie dzieło. Samuel Goldwyn i Louis B. Mayer kupiliby formułę Perry’ego w ciemno. Duży zysk, duże show!

George’owi Lucasowi zabrakło ponad dwadzieścia lat zrealizowanie *Red Tails*, filmu

o czarnoskórych Tuskegee Airmen, którzy latali w drugiej wojnie światowej. Narzekał, że żadne studio w Hollywood nie chciało podjąć się realizacji i musiał sam go sfinansować. Wpływy kasowe nie były najgorsze, pięćdziesiąt milionów dolarów brutto. Odważni hazardziści mogą niewątpliwie wygrać, zwłaszcza jeśli wygraną mierzyć zarówno w kategoriach finansowych, jak i osiągnięć artystycznych. Nasuwa się więc pytanie: dlaczego amerykańscy filmowcy nie chcą wykorzystać ruchu z lat sześćdziesiątych, największego w niedawnej historii tego narodu ruchu na rzecz praw obywatelskich, z jego falą gigantycznych emocji? Teren jest płodny i nietknięty.

– Mam nadzieję, że *Kamerdyner* dokona przełomu w tym kierunku – powiedziała mi producentka Pam Williams.

Jeśli kino jest językiem uniwersalnym, to co mówi o Ameryce – i amerykańskiej kinematografii, która jest wielkim źródłem eksportu – fakt, że jej filmy skłonne są ignorować cały segment jej populacji? Czyż to nie jest kulturalna ślepota? A jednak zwrócenie uwagi na tę sytuację nie rozwiązuje problemu.

Omawiając nominacje do Oscara w roku 2011 – za rok 2010 – szanowana krytyczka filmowa „New York Timesa” Manohla Dargis chwaliła nominowanych i filmy za różnorodność ról i gatunków. Ale nominowane filmy były też, jak pisała: „bardziej homogeniczne – bardziej białe – niż dziesięć filmów nominowanych w roku 1940, kiedy Hattie McDaniel została pierwszą czarnoskórą Amerykanką, która otrzymała Oscara za rolę Mammy w *Przeminęło z wiatrem*”. Dla Dargis było boleśnie oczywiste, że 2010 okazał się „może najbielszym rokiem w Hollywood” od kilkadziesiątu lat. Jeśli poważny krytyk filmowy cofa się aż do lat czterdziestych, opisując problem rasowy amerykańskiego kina, można to uznać za napomnienie udzielone współczesnej kinematografii. Artykuł Dargis ukazał się w niedzielę, dzień dużej poczytności, można więc było słyszeć zgrzytanie zębów w Hollywood: czarny zajmuje Gabinet Owalny, a jednak filmy wydają się wracać do czegoś w rodzaju „białej listy” istniejącej w tamtych podłych dniach odległej przeszłości. (Interesujące, że artykuł w „New York Timesie” z czerwca 2013 zwracał uwagę na filmy o tematyce afroamerykańskiej mające niebawem wejść na ekrany – wśród nich był *Kamerdyner*).

Na szczęście jedną z osób, którą od dawna niepokoił brak różnorodności w amerykańskich filmach, była Laura Ziskin, potężna producentka z Hollywood. Wśród filmów, których była producentem, jest *Pretty Woman*, *Lepiej być nie może*, a także filmy o Spider-Manie. Ziskin była w Londynie, kiedy po raz pierwszy przeczytała mój artykuł *Kamerdyner pierwszorzędnie obsłużony w wyborach* w „Washington Post”. Razem ze swoją współpracowniczką Pam Williams wytropiły mnie w hotelowym pokoju w Memphis, w Tennessee, gdzie byłem służbowo.

Artykuł natychmiast przykuł uwagę Ziskin i Williams jako materiał na film. Wyobraziły sobie *Kamerdynera* jako epicką opowieść, ogarniającą współczesną historię walki o prawa obywatelskie widzianą oczami kamerdynera z Białego Domu.

– Rozesłałyśmy artykuł potencjalnym sponsorom, a potem spotkałyśmy się z kilkoma wybitnymi reżyserami, włącznie z tym, którego żaden producent nie może ignorować, Stevenem Spielbergiem – wspomina Williams.

Ale Spielberg w końcu przyznał, że nie da rady wcisnąć filmu w harmonogram oczekujących już projektów. Ziskin i Williams zaprosiły na spotkania także innych reżyserów. Żaden nie zrobił takiego wrażenia jak Lee Daniels, który przyszedł z wizją i roztaczał ją przez kilka godzin, niemal doprowadzając obie producentki do łez.

Lee Daniels – reżyser *Hej, skarbie*, rozgrywającego się w Harlemie dynamicznego i bezwzględного dramatu o wykorzystywanej seksualnie nastolatce – wyobraził sobie film, którego akcja przenosi się z Białego Domu na ulice, ukazując walkę o prawa obywatelskie.

Wystąpić miało wielu wybitnych aktorów lat sześćdziesiątych; alarmujące relacje z Birmingham i Selmy oraz nocni jeźdźcy pojawią się na ekranie. (Scenariusz napisał utalentowany Danny Strong). Taki film wymagałby przyzwoitego budżetu.

Nie zniechęciło to Ziskin, która zacisnęła zęby i gdy w pewnym dużym studiu powiedziano jej, że żąda zbyt wielkich pieniędzy na film, który oni wszyscy chcą nakręcić, przyjęła inną strategię. Jeśli będzie do tego zmuszona, zdobędzie pieniądze niezależnie. Jest to manewr stosowany przez wielu poważnych filmowców w niechętnym do podejmowania ryzyka Hollywood. Sam Daniels miał wprawę w chodzeniu z kapeluszem w rękę dla dobra sztuki; tą metodą pozyskał pieniądze na *Hej, skarbie*. Tamten film zdobył dwie statuetki Oscara – dla najlepszej drugoplanowej aktorki i za adaptowany scenariusz – oraz przyniósł mu nominację w kategorii najlepszy reżyser.

Ziskin i Williams rozpoczęły realizację swojej strategii od dotarcia do Sheili Johnson, która niegdyś współzakładała Black Entertainment Television (BET). Historia skromnego wieloletniego kamerdynera przypadła Johnson do serca – jest ona właścicielką Salamander Hotels and Resorts w Wirginii, gdzie zatrudnia wiele domowej służby.

– Poznałam Lee w hotelu Saint Regis w Nowym Jorku – opowiadała Johnson któregoś wieczoru na planie. – Zaangażowałam się jeszcze przed tym, nim usiadłam z Lee. Wiedziałam, że ta historia musi być opowiedziana. Ona ma wiele warstw.

To kapitał założycielski Johnson otworzył finansowe bramy filmowi.

Kwartet Ziskin, Williams, Daniels i Johnson zaczął prowadzić rozmowy i pozyskiwać sponsorów. Ale gdy późna zima 2010 roku przeszła we wczesne miesiące roku 2011, stało się rozpaczliwie jasne, że stan zdrowia Ziskin – przed laty zdiagnozowano u niej raka piersi – pogarsza się. Niemniej, im stawała się słabsza, tym bardziej zawzięcie walczyła. Telefonowała do późna w nocy i zaczynała od nowa wcześniej rano. Między telefonami połykała przepisane lekarstwa, gotowa obmyślić następny krok, żeby zrealizować swój film. Zwraçała się o pomoc do swojej córki Julii, do Lee Danielsa, który ją odwiedzał, do Pam Williams, która zdawała się bezustannie tkwić u jej boku. Zarażeni jej energią wracali do telefonu, zdobywając pieniądze potrzebne do nakręcenia filmu. Sama Laura błagała sponsorów, żeby przyszli do niej do domu, i kiedy skubali kanapki, mówiła im, że ta historia jest zbyt ważna, żeby jej *nie* opowiedzieć. Pieniądze zaczęły napływać. Usadowiona na swojej kanapie, przygarbiona, wyczerpana Laura Ziskin trzymała przed światem fason. W niektóre wieczory David Jacobson, jeden z koproducentów, schylał się, brał ją na ręce i zanosił na górę, do sypialni. Zmarła 12 czerwca 2011 roku, ale przedtem kazała wszystkim zgromadzonym wokół niej obiecać, że zrealizują ostatni zaprojektowany przez nią film. Obiecali.

Kiedy już były pieniądze, reżyser, producenci i guru od castingów Billy Hopkins razem z Leah Daniels-Butler zaczęli kompletować obsadę. Powszechnie wiadomo, że aktorzy nie mogą wyjść z podziwu, co potrafi z nich wykrzesać Lee Daniels. (Zgadza się to z odczuciami syna prawdziwego kamerdynera, Charlesa Allena, który, zobaczywszy Foresta Whitakera i Oprah Winfrey, grających postaci wzorowane na jego rodzicach, bardzo się wzruszył i powiedział mi później, że uchwycili oni istotę osobowości jego matki i ojca, nawet jeśli ich historia została dla celów filmu udramatyzowana. „Są niesamowici – mówił o aktorach. – W jakiś sposób przywrócili moją mamę i tatę do życia”). Znany z niekończących się rozmów ze swoimi aktorami na temat ich ról Daniels spędza też niezliczone tygodnie, ślęcząc nad materiałami i fotografiami, zanurzając się w świat, który wkrótce zacznie filmować. Aktorzy słyszą od innych aktorów o jego zaangażowaniu i wrażliwości na detale. David Jacobson dzwoni do agencji aktorskich, kompletując obsadę. „Mówię agentom, że nim film będzie skończony, ich klient sam zechce nam płacić za to, że go zaangażowaliśmy”. Nie żartował.

Jak dumnie założyła Laura Ziskin, obsada, biorąc pod uwagę temat filmu, miała być zróżnicowana rasowo. Oprah Winfrey podpisała kontrakt, następnie Forest Whitaker i David Oyelowo. Dalej Alan Rickman, Cuba Gooding i Lenny Kravitz. Dalej Vanessa Redgrave, Jane Fonda i Mariah Carey. Hollywoodzkie pisma branżowe rozpyływały się nad obsadą. A to nie był koniec: byli jeszcze Liev Schreiber, James Marsden, John Cusack, Clarence Williams III, Nelsan Ellis. Wielu z tych, którzy pracowali za kulisami – kostiumolog Ruth Carter, operator Andrew Dunn, charakteryzator Matthew Mungle – mogli również pochwalić się nominacjami do Oscara i wieloma filmowymi nagrodami. Nie było tajemnicą, że obsada i ekipa godzi się pracować za obniżone stawki – inaczej film po prostu by nie powstał.

– Wielu pracuje dla honoru – zwierzyła mi się Pam Williams. – Po prostu chcą brać udział w tym filmie.

Pewnego wieczoru na planie spytałem Danny’ego Stronga, rodowitego Kalifornijczyka, który rozpoczął karierę jako aktor, by później zająć się pisaniem scenariuszy, dlaczego tak się rwał do pracy nad tym filmem.

– Naprawdę pasjonuję się problemami rasowymi w Ameryce – odpowiedział. – I uznałem, że ten film może być sposobem na opowiedzenie afroamerykańskiej historii od Jima Crowa do Obamy. Uznałem, że może to być epepeja o problemie rasy.

W kręgach filmowych dużo się mówiło w ciągu tych lat o hollywoodzkich próbach nakręcenia filmów na temat walki o prawa obywatelskie. W sumie powstało ich zaledwie kilka. I przeważnie zostały wykupione. W 1988 roku na ekrany weszło *Missisipi w ogniu*, nawiązujące do prawdziwych wydarzeń w Missisipi we wczesnych latach sześćdziesiątych, kiedy to zamordowani zostali trzej działacze ruchu praw obywatelskich. Film uczynił bohaterów z dwóch prowadzących śledztwo agentów FBI, i tu nastąpiło przekłamanie. Świadczenia historyczne jasno wykazują, że agenci nie odegrali bohaterskiej roli w sprawie z Missisipi, a film zminimalizował rolę czarnych działaczy w tym stanie w czasach panującego tam terroru. Rok 1996 przyniósł *Duchy Missisipi*, film o śledztwie dotyczącym zamordowania bohatera ruchu praw obywatelskich Medgara Eversa. Aparat ścigania wykazał niewielką chęć wyjaśnienia tej sprawy. Film natomiast skoncentrował się na białym zastępcy prokuratora okręgowego – człowieku z pewnością dzielnym i sumiennym – który po trzydziestu latach ponownie otworzył śledztwo. Oczywiście, filmowcy muszą się zdecydować, na którym wątku się skupić w każdej wielowątkowej historii. Ale w wypadku *Duchów* pozostaje pytanie: czy sama historia Medgara Eversa nie dostarczała materiału na fascynujący dramat? Strong był świadom absmaku, jaki te filmy pozostawiły.

– Łatwo było uniknąć tej pułapki – mówił mi na temat filmu o kamerdynerze z Białego Domu. – Nie miał to być film o szlachetnym białym człowieku pomagającym uciśnionym. To miała być opowieść o czarnym kamerdynerze i czarnych dzieciakach walczących o swoje prawa. Było to coś, co zrobili sami, zmuszając prezydentów do opowiedzenia się po ich stronie.

**Przyjechałem do Nowego Orleanu** kilka dni przed rozpoczęciem zdjęć do *Kamerdynera*. Po naszej wstępnej pogawędce, kiedy przebywałem w Tennessee, zasiadłem po raz pierwszy twarzą w twarz z Laurą Ziskin i Pam Williams w Waszyngtonie. Potem były też długie sesje, kiedy wraz ze scenarzystą Danny’em Strongiem odwiedziliśmy prawdziwego kamerdynera Eugene’a Allena. Ale to była moja pierwsza wizyta na planie. Serce rosło, kiedy siedziało się z aktorami, aktorkami i innymi twórcami pracującymi przy *Kamerdynerze* i słuchało, jak namiętnie rozprawiają, dlaczego chcieli się w to zaangażować.

– Oni reprezentują całą czarną klasę średnią, o której istnieniu nikt nie miał pojęcia – powiedziała mi pewnego popołudnia Oprah Winfrey o kamerdynerze i jego żonie. – To taka piękna historia.

Każdy, kto miał do czynienia z filmem, był w siódmym niebie, kiedy Foster Whitaker

podpisał kontrakt na rolę kamerdynera.

– Moja kariera nie zmierzała we właściwym kierunku – powiedział mi Whitaker na dzień przed rozpoczęciem zdjęć.

Słowa te brzmiały raczej dziwnie w ustach zdobywcy Oscara dla najlepszego aktora za elektryzujący portret Idiogo Amina w *Ostatnim królu Szkocji*. (O wiele za dużo jego ostatnich filmów – choć Whitaker nie czynił do tego aluzji – miało rozpaczliwie krótki żywot w kinach przed rozpowszechnieniem na wideo). Mówił, jak się cieszył, kiedy zaproponowano mu rolę kamerdynera:

– To jedna z najbardziej złożonych ról, jakie kiedykolwiek grałem.

Powiada, że złożoność tej roli wynika z faktu, że grany przez niego bohater przechodzi od segregacji do integracji rasowej, od prezydenta do prezydenta i z jednej dekady do drugiej – na dodatek będąc ojcem i mężem w niespokojnym okresie amerykańskiej historii.

– Mam nadzieję, że sprostam wyzwaniu – mówił o roli.

Whitaker wynajął zawodowego kamerdynera, żeby go wciągnął w tajniki zawodu. (Zauważyłem pierwszego dnia, gdy filmowano scenę z Whitakerem, że mistrzowsko przejął miękki południowy akcent Eugene’a Allena).

Louisa, syna kamerdynera, gra brytyjski aktor David Oyelowo, który zdobył rozgłos po obydwu stronach oceanu, ale tak zwaną rolę przełomową ma jeszcze przed sobą. Wkrótce po rozpoczęciu zdjęć zrodziło się w ekipie przekonanie, że to istotnie może być jego szansa. Jako buntowniczy syn kamerdynera bywał zarazem magnetyzujący i gwałtowny.

– Bosko być tutaj – powiedział kiedyś w trakcie lunchu późnym popołudniem podczas przerwy w zdjęciach.

Oś filmu – droga przebyta przez kamerdynera w Białym Domu – przypomniawszy Oyelowo inne filmy, które niegdyś przykuwały uwagę publiczności.

– Są tu elementy *Forresta Gumpa* i *Przeminęło z wiatrem* – stwierdził. – Ten film składa hołd szeregowym żołnierzom.

Dobrze zdawał sobie sprawę, ile zachodu kosztowało doprowadzenie do jego realizacji.

– Trzeba siły takich ludzi, jak Lee Daniels i Oprah Winfrey, i tej plejady gwiazd, żeby taki film mógł powstać – przyznał.

Przed rolą w *Kamerdynerze* Oyelowo wystąpił jednocześnie w *Służących* i u Spielberga w *Lincolnie*: żaden z tych filmów nie wszedł jeszcze na ekrany podczas jego pobytu w Nowym Orleanie.

– Ten film jest o kamerdynerze i jego rodzinie. Nie ma żadnego białego wybawcy.

Wiele mówiono o aktorach, którzy chcieli grać w tym filmie, tymczasem osoby pracujące za kulisami były równie zainteresowane projektem. *Kamerdyner* obejmuje dziewięć dekad i administracje wielu prezydentów. (Choć prawdziwy Eugene Allen pracował za kadencji ośmiu prezydentów, film dotyczy tylko pięciu). Taki film często nazywany jest „historycznym” i wymaga rozległych badań. Scenografowie, rzemieślnicy, kostiumolodzy rozpoczynają pracę na wiele miesięcy przed zdjęciami, synchronizując swoje pomysły i sugestie z ostateczną wizją reżysera. Inaczej wyglądała administracja Eisenhowera, a inaczej Kennedy’go; to samo można powiedzieć o czasach Nixona i Reagana. Ten odmienny wygląd musi znaleźć odbicie w meblach, samochodach, muzyce i modzie danej epoki.

Ruth Carter cieszy się w Hollywood wielką estymą. Była nominowana do Oscara za kostiumy w *Malcolmie X* i *Amistadzie* Spielberga. Jednak nie uznała, że sama jej pozycja w przemyśle filmowym wystarczy, by pracować przy *Kamerdynerze*. Tak bardzo chciała pracować przy tym filmie jako kostiumolog, że przygotowała książeczkę ze swoimi projektami kostiumów i wysłała ją Lee Danielsowi.

– Twardo walczyłam, żeby pracować przy tym filmie – wyznała mi podczas krótkiej przerwy w swoich dwudziestoczworgodzinnych zajęciach na planie. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam zdjęcie Eugene’a Allena, odniosłam wrażenie, że go znam. Miałam wrażenie, że znam jego żonę.

Carter i tuziny innych – operator Andrew Dunn, dźwiękowiec Jay Meagher, graficzka Kristin Lekki – wszyscy pracowali nad tym, by wizja Daniela znalazła się na ekranie.

Nie było jaka wizja. W niektóre dni na planie *Kamerdynera* mogło się wydawać, że wehikuł czasu przenosi nas w przeszłość. W budynku pojawiły się napisy KOLOROWI i TYLKO BIALI. Były oddzielne sklepy, a w nich protestujący studenci. Przez mosty i środkiem ulic szły marsze na rzecz praw obywatelskich. Były wiece Ku-Klux-Klanu i ujadające niemieckie owczarki, które rozszarpywały ubrania protestujących kobiet i dzieci.

– Trzeba, żeby ludzie to zobaczyli, zanim nikt nie będzie już w stanie tego sobie wyobrazić – mówił o niezliczonej liczbie ujęć Tom Galvin, scenograf.

Po niecałych dwóch tygodniach pracy, odtwarzając atmosferę i charakter amerykańskiego ruchu na rzecz praw obywatelskich, już czułem, że będzie to coś nadzwyczajnego.

– Ten film jest niezwykle i znaczący – twierdził. – Ma ogromną wartość.

Opowiadał, że niekiedy jego ekipa poszukiwała wspólnie z Danielsem planów zdjęciowych. I dowiadawali się, że most, który chcieli filmować, to most, gdzie członkowie Ku-Klux-Klanu naprawdę zaatakowali czarnych. W stanie Luizjana znaleźli odrestaurowaną chatę niewolnika i wykorzystali ją w filmie.

– Było inne miejsce, afrykański kościół metodystyczno-episkopalny Świętego Jakuba, gdzie filmowaliśmy. No cóż, jak się okazało, była to część tak zwanej Kolei Podziemnej [chodzi o szlak ucieczek niewolników z plantacji, Underground Railroad]. Jakoś nas ciągnęło do tych miejsc. Sporo było dobrej karmy. – Zamilkł na chwilę. – To przekracza show-biznes – oświadczył.

Niemniej nadal były przeszkody i problemy do rozwiązania – na wczoraj, zaraz, pierwsza rzecz na jutro. Olbrzymi problem stanął przed *Kamerdynere* na samym początku, kiedy reżyser i ekipa produkcyjna wylądowali po raz pierwszy w Nowym Orleanie: jak nakręcić epicki pod względem zakresu i rozmachu film przy ograniczonym budżecie, który udało im się zebrać. Ale Pam Williams i jej koproducenci wiedzieli, jak znaleźć rozwiązanie. Byli już niemal gotowi do rozpoczęcia zdjęć, a film był zbyt ważny, żeby teraz rezygnować (Williams umieściła nawet w swoim biurze napis o konieczności dotarcia do mety: NIE MA INNEJ OPCJI). Jednak, gimnastykując się z budżetem, zdała sobie sprawę, że po prostu nie mają dość pieniędzy, żeby zrealizować wizję Lee Daniela. Produkcja wymagała długich sekwencji i skrupulatny Lee zwiększył liczbę dni produkcyjnych. Wymagało to więcej godzin pracy na planie, wobec czego trzeba było zatrudnić więcej statystów. Strach mógłby załamać Williams. Ale ona zabrała swój personel na sorbet owocowy, specjalność Nowego Orleanu – prawdziwa rozkosz w upalny letni dzień. Podczas tego wypadu myślała o filmie i Laurze Ziskin, o jedenastu latach, które spędziła u boku Ziskin, i powiedziała sobie, że ten film trzymał Laurę przy życiu i kazał jej walczyć. I że nie ma zamiaru zawieść Laurę. Niech ją diabli, jeśli każą całej ekipie pakować się i wracać do Kalifornii. Schowała więc dumę do kieszeni i zdecydowała się uderzyć do sponsorów po więcej pieniędzy.

– Nie mogłam sobie poradzić z jej stratą – zwierzyła mi się kiedyś Williams, mówiąc o Laurze Ziskin. Siedziała w charakterystycznej pełnej statystów, mających zaraz wystąpić w scenie w Gabinetach Ovalnym. – Była za wielka, za rozległa. Zdecydowałam, że będę żyła w świecie wyparcia, i robiłam wszystko, żeby ten film powstał, tak jakby Laura wciąż tu była. Zamiast płakać, włożyłam całe serce w ten film.



Tak samo jak aktorzy.

Filmowanie bojkotu w autobusach, ataków Ku-Klux-Klanu, *sit-ins*, białych przepędzających czarnych może wywołać wewnętrzny niepokój. Po nakręceniu wielu takich scen aktorzy wyglądali na wyczerpanych emocjonalnie. Nawet reżyser nie był odporny. Wydawało się czasami, że każda łza, która spłynęła ze zmęczonych oczu każdej kobiety modlącej się w murzyńskim kościele w czasach zamieszek na Południu, zbierała się teraz w oczach Lee Danielsa. Czasami po boleśnie przejmującej scenie siedział w milczeniu na swoim reżyserskim krześle. Jak gdyby przeniósł się z powrotem do Birmingham albo Selmy czy slumsów w Missisipi. Po czym zrywał się z krzesła szybki jak kobra, żeby powiedzieć aktorom o czymś, co jeszcze chciałby zobaczyć w tej scenie. Później, kiedy stał w swoim charakterystycznym dresie i z czołem zroszonym potem oglądał przewijaną scenę, na jego twarzy pojawiał się uśmiech. Nie bez powodu. Realizował film, który obiecał Laurze Ziskin.

Chyba nikogo nie przeraziła wiadomość, że do miasta zbliża się huragan i na jakiś czas trzeba będzie przerwać produkcję. Wyjazd na dwa tygodnie pozwolił ekipie wypocząć, więc po powrocie zabrała się do pracy z taką samą energią jak przedtem. Być może *Kamerdyner* przyjechał do Nowego Orleanu bez dystrybutora, ale nie wyjechał bez niego. Harvey Weinstein – producent wielu filmów z górnej półki, z których niejeden zdobył Oscara – śledził postępy filmu od momentu, kiedy ogłoszono jego realizację. Nim jeszcze ukończono zdjęcia, rozeszły się słuchy, że Harvey ma zamiar uzyskać prawa do dystrybucji filmu.

– Co najbardziej mnie uderzyło w tej historii – powiedział Weinstein hollywoodzkiej gazecie – to perspektywa, z której na nią patrzymy, a która jest w tym wypadku perspektywą kamerdynera – człowieka, który kilkadziesiąt lat był muchą na ścianie w najpotężniejszym domu na świecie.

Droga tej opowieści na ekran trwała blisko pięć lat. Ale zaczęła się znacznie wcześniej, od czarnego dziecka urodzonego na plantacji w Wirginii, które dotarło do Białego Domu; mężczyzny, który żył dostatecznie długo, by swoją hebanową ręką wrzucić do urny głos na człowieka, który został pierwszym czarnym prezydentem tego kraju. Zaangażowali się sponsorzy, którzy pozwolili, by ta opowieść poruszyła ich sumienia. Znaleźli się producentka i reżyser, którzy się nie poddali. *Kamerdyner* sam stał się ruchem.

I oto powstał ten film – nakręcony wielkim wspólnym wysiłkiem. Ostatnie entuzjastyczne filmowe marzenie Laury Ziskin zostało spełnione.

1 D. Thomson, *The Big Screen*, New York 2012, Farrar, Straus and Giroux, s. 22.

2 P. Sullivan, *Lift Every Voice: The NAACP and the Making of the Civil Rights Movement*, New York 2009, The New Press, s. 50.

3 D. Thomson, dz. cyt., s. 24.

4 H.L. Gates jr., Evelyn Brooks Higginbotham, red., *African American Lives*, New York 2004, Oxford University Press, s. 591.

5 J. Baldwin, *The Price of the Ticket: Collected Nonfiction 1948–1985*, New York 1985, St. Martin's, s. 561.

6 S. Poitier, *The Life*, New York 1980, Knopf, s. 255.

7 Tamże.

8 M. Harris, *Pictures at a Revolution: Five Movies and the Birth of the New Hollywood*, New York 2008, The Penguin Press, s. 403.

9 Rozmowa przytoczona zgodnie z polską wersją listy dialogowej filmu *Kamerdyner*.

# PIĘCIU WALCZĄCYCH PREZYDENTÓW

**Od powstania** narodu amerykańskiego niewielu prezydentom udało się uniknąć ciężkiej próby konfrontacji z problemem rasowym. Thomas Jefferson posiadał niewolników; Abraham Lincoln oddał życie za zniesienie niewolnictwa. Harry Truman – pierwszy z ośmiu prezydentów, którym służył Eugene Allen – dojrzał w Missouri, w czasie gdy lincze wcale nie były czymś w tym stanie niespotykanym. Dziewięćdzieci dzieci w Little Rock zmusiło administrację Dwighta Eisenhowera do wysłania wojsk federalnych – po raz pierwszy od czasów Rekonstrukcji – by wesprzeć wołanie czarnej Ameryki o równość. Styl Camelotu może fascynować naszą wyobraźnię, ale prezydent John F. Kennedy w poluzowanym krawacie został zaskoczony pojawieniem się nowego ruchu – na rzecz praw obywatelskich. Jego następcą Lyndon Johnson szybko pojął, że rozlew krwi w latach sześćdziesiątych miał swoje korzenie w wojnie secesyjnej, i wystąpił z energicznymi reformami. Richard Nixon najwyraźniej niechętnie zajmował się prawami czarnych, chociaż miał szczególną słabość do piosenkarza i tancerza Sammy’ego Davisa jr. Komu by przyszło do głowy, że Ronald Reagan zostanie przyciśnięty do muru przez czarnoskórego mężczyznę uwięzionego w Afryce Południowej, za oceanem? Każdy z pięciu prezydentów sportretowanych w *Kamerdynerze* – scenariusz wymaga czasem bezlitosnych decyzji co do wykreślenia postaci, nawet jeśli są prezydentami – trafił za swojej kadencji na pierwsze strony gazet w związku z problematyką rasową. Przez większość tych epokowych dni urodzony w Wirginii kamerdyner z naszej opowieści znajdował się nieopodal sceny rozgrywającego się dramatu.

## IKE

**Little Rock** – te dwa słowa stały się niemal definicją prezydentury Eisenhowera. Kryzys oczywiście powstał w związku z orzeczeniem z roku 1954 w sprawie Brown przeciwko Wydziałowi Edukacji, nakazującym desegregację rasową. Sąd Najwyższy orzekł, że Ameryka nie może dłużej dyskryminować swoich czarnych obywateli w ich dążeniu do zdobycia wykształcenia. Uznał segregację rasową za niezgodną z prawem. Jednakże okręgom ze szkołami tylko dla białych wdrożenie tego orzeczenia zajęło mnóstwo czasu. Niektóre oświadczyły, że po prostu nigdy się do niego nie zastosują.

Trzy lata później, jesienią 1957 roku, dziewięcioro murzyńskich dzieci wstępowało po schodach Little Rock Central High School w Little Rock w stanie Arkansas. Tłum je zaatakował; wyzwiska raniły jak zatrute strzały. Dzieci musiały się wycofać. Prezydent Eisenhower był zszokowany, że gubernator Orval Faubus nie zapewnił dzieciom żadnej ochrony; przeciwnie, kazał swojej Gwardii Narodowej powstrzymać je. Ike, wyszkolony wojskowy, przetestowany w drugiej wojnie światowej, wysłał wojska federalne.

Kto wie, jak głęboką traumę przenieśli dzieci w dorosłe życie? Niektóre napisały pełne bólu wspomnienia.

Kiedy Ike opuścił już Biały Dom po zakończeniu swojej drugiej kadencji, lubił czasem przechadzać się po polu bitwy pod Gettysburgiem. Towarzyszem prezydenta bywał jego niegdysiejszy kamerdyner Eugene Allen. Eugene miał wiele wolnych dni i czasami odwiedzał prezydenta. Służący Ike'a obsługiwał ich obu. Chyba autentycznie brakowało im siebie nawzajem.



Prezydent Dwight D. Eisenhower

## JFK

**Trzydziestego września 1962 roku** chuligani ruszyli do Oxford w stanie Missisipi. Przysięgli na Boga, że „czarnuch” James Meredith nigdy nie będzie studiować na Uniwersytecie Missisipi. Kilka sądów federalnych nakazało uczelni zarejestrować go. Kiedy prezydent Kennedy dowiedział się, że Meredith nie dostanie ochrony, wpadł w gniew. Stan Missisipi ignorował nakaz sądu federalnego. Wybuchły gwałtowne zamieszki. Zbuntowany tłum – studentów i osób postronnych – rzucał cegłami i butelkami w żołnierzy federalnych wysłanych na uczelnię przez Kennedy’ego. Dwie osoby, fotograf i jeden z obserwatorów, zostały zabite. James Meredith zapisał się na Ole Miss, jedną z tak zwanych cytadel edukacji akademickiej na głębokim Południu. Meredith, weteran Sił Powietrznych, obdarzony żelazną determinacją, otrzymywał worki nienawistnych listów i telegramów. Były też ciepłe słowa. Przyszedł telegram od wielkiej pieśniarki Josephine Baker: **Bóg jest dobry sprawiedliwy i pewny. wszyscy cieszymy się z praw człowieka – Josephine Baker i jej dzieci które reprezentują pięć zakątków świata.**

„Sto lat minęło, odkąd prezydent Lincoln wyzwolił niewolników. Sto lat zwłoki” – oświadczył Kennedy w publicznej telewizji 11 czerwca 1963 roku. Następnego dnia, 12 czerwca, działacz na rzecz praw wyborczych Medgar Evers został zamordowany na podjeździe przed własnym domem. Kennedy zaprosił Myrlie, wdowę po Eversie, oraz jego dzieci do Białego Domu, gdzie po raz pierwszy spotkał ich Eugene Allen.

I raptem po tej podróży do Dallas popłynęła rzeka łez. W następnych latach w wielu murzyńskich domach na gzymsie kominka pojawiła się fotografia. Byli na niej trzej, którzy wzburzyli wody – Jack Kennedy, Martin Luther King i Bobby Kennedy – i którzy dlatego zginęli.



Prezydent John F. Kennedy

## LBJ

**Nie ma** większego koszmaru dla rodziców, niż odebrać telefon: „Wasze dziecko zaginęło”. Zaczęły się więc poszukiwania. Było ich trzech, diabelnie odważnych, zdeterminowanych zmienić świat – ów świat Missisipi z lata 1964 roku. Andrew Goodman miał dwadzieścia lat, James Chaney dwadzieścia jeden, a Michael Schwerner dwadzieścia cztery. Wraz z innymi pojechali do Missisipi rejestrować czarnych wyborców. Ale najpierw, wraz z siedmiuset innymi osobami, uczestniczyli w zjeździe w Oxford, w Ohio, na kampusie Western College (obecnie włączonym do znajdującego się po drugiej stronie drogi Miami, Ohio), na którym ich pouczono, jak zachowywać się w Missisipi: podporządkowywać się władzom, zawsze zostawiać w miejscowej filii biura wiadomość, gdzie się jest, unikać pobliskiego miasta po zmroku.

Przezywano ich najrozmaiciej: „żydziak”, „komuch”, „czarnuch” – dokładnie na takie przydomki ich uczulano, jednocześnie ucząc, jak nie dać się sprowokować. Zaginęli w Neshoba, szczególnie wrogim rejonie, 21 czerwca. Lokalne władze oświadczyły, że to fałszywy alarm, że „dzieciakom” się po prostu odechciało i opuścili okolicę w poszukiwaniu zabawy gdzie indziej. Prezydent Johnson wysłał do Missisipi przeszło dziewięćdziesięciu agentów FBI.

Wielu weteranów ruchu na rzecz praw obywatelskich w tym stanie wiedziało od początku, że prawdopodobieństwo odnalezienia ich żywych jest niewielkie. Zdanie ze scenariusza *Kamerdynera* wypowiediane przez żonę głównego bohatera brzmi: „Trzech młodych ludzi zginęło, próbując rejestrować kolorowych w komisjach”.

Prezydent Johnson, bohatersko walczący o prawa obywatelskie, zainicjował swoją wielką Ustawę o Prawach Obywatelskich z 1964 roku, która została zatwierdzona owego lata. Rok później weszła Ustawa o Prawach Wyborczych. Żadna nie uśmierzyła niepokojów kamerdynera z Białego Domu, Eugene’a Allena, co do losów krewnych zamieszkałych w południowych miasteczkach.

Piękny monument upamiętnia trzech młodych męczenników w Oxford, mieście, z którego wyjechali pełni marzeń owego lata nadziei.





Prezydent Lyndon B. Johnson

## NIXON

**W roku 1969** prezydent Nixon nominował Clementa Haynswortha z Karoliny Południowej na sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Oczywiście przy okazji tak ważnych nominacji reporterzy i rozmaite wścibskie osoby grzebią i kopią w życiorysie kandydata. Odkryto, że w swoich prawniczych decyzjach Haynsworth faworyzował w przeszłości segregacjonistów. Podniósł się wielki krzyk i nominacja została odrzucona. Nixon – który ukończył prawo na Uniwersytecie Duke’a w Karolinie Północnej – wydawał się odczuwać powinowactwo z sędziami z Południa. Niezrażony wpadką z Haynsworthem nominował z kolei sędziego z Georgii G. Harrolda Carswella. Znowu nastąpiło dogłębne prześwietlenie. Niesamowite, że kwity na Carswella były dokładnie takie same jak na Haynswortha; on też miał skłonność do wydawania orzeczeń na korzyść segregacjonistów i bigotów. Takie nominacje łatwo przeszłyby przez Senat w latach pięćdziesiątych. Ale lata sześćdziesiąte – i każdy nowy czarny głos na Południu – zmieniły naród; nadal go zmieniały. Nominacja Carswella także została odrzucona.

Po tych nietrafionych nominacjach przezwisko Szczwany Dick rozpowszechniło się w czarnej Ameryce. Murzyńska prasa rzuciła się łakomie na takie historie. Czy prezydent nie zdawał sobie sprawy, że wielu czarnoskórych kamerdynerów i pokojówek przybyło w czasach Wielkiej Migracji z głębokiego Południa? Że trudno było liczyć, by orzeczenia takich sędziów jak Haynsworth i Carswell zostały zapomniane?

Jedną z pierwszych wskazówek, które się daje osobom angażowanym do służby w Białym Domu, jest: nie rozmawiaj o polityce. Sprzątaj więc i obsługuj z wypraktykowaną skrupulatnością. Pierwszym prezydentem, na którego głosowali Eugene i Helene Allenowie, był Franklin D. Roosevelt. Uwielbiali głosowanie, tę słodko dyskretną i potężną formę prywatnej ekspresji.

Herbaty, panie prezydencie?



Prezydent Richard M. Nixon

## REAGAN

**Gdy Ronald** Reagan w latach czterdziestych kręcił filmy w Hollywood, młody Nelson Mandela pracował w kancelarii prawniczej w Johannesburgu, w Afryce Południowej. Pod osłoną nocy pomagał Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu znaleźć sposób na skończenie białych rządów nad czarnym narodem. Z czasem Mandela wzmógł swoją polityczną aktywność, co nie podobało się władzom. Wydawano nakazy jego aresztowania. Mandela zszedł do podziemia; stał się znany jako Czarny Kurzyślad, gdy w różnych przebraniach (grając jakby nie było o *życie*) przemieszczał się po kraju. Jego schwytanie w 1962 roku stało się głośnym na całym świecie wydarzeniem. Oskarżony o zdradę uniknął powieszenia i ostatecznie skazano go na dożywocie.

Dekadę później amerykański kongresmen Ronald Dellums zajął się sprawą Mandeli, kierując uwagę na jego położenie i na reżim apartheidu w Afryce Południowej, która spokojnie sprzedawała towary do obcych krajów, jednocześnie gnębiąc i więząc swoich czarnoskórych obywateli. Dellums przedłożył projekt Kompleksowej Ustawy przeciw Apartheidowi, która wzywała do uwolnienia Mandeli oraz położenia kresu południowoafrykańskim praktykom biznesowym. Ruch przeciwko apartheidowi wylał się z uniwersyteckich kampusów na ulicę. Jednakże lata mijały, a Mandela pozostawał uwięziony.

W Białym Domu prezydent Reagan przysięgał, że nie poprze ustawy Dellumsa. Ale ruch przybierał na sile, przyłączali się do niego zarówno słynni aktorzy i aktorki, jak i zwykli ludzie. W 1986 roku Kompleksowa Ustawa przeciw Apartheidowi wreszcie została przegłosowana. Był to również ostatni rok Eugene'a Allena w Białym Domu.

Gdy Nelson Mandela w 1990 roku został zwolniony z więzienia, wybrał się w podróż po Ameryce, żeby podziękować swoim zwolennikom. Naród wydawał się wniebowzięty. Eugene i Helene z promiennym uśmiechem śledzili relacje telewizyjne.



Prezydent Ronald Reagan

## PODZIĘKOWANIA

**Dawn Davis, redaktor tej książki**, skontaktowała się ze mną, gdy tylko zakończono kręcenie *Kamerdynera*. Chciała wiedzieć, czy miałbym ochotę napisać książkę o Eugenie Allenie. Był to telefon, na który czekałem. Jestem jej wdzięczny za to, jak bardzo była zdeterminowana, by książka się zmaterializowała. Chciałbym także podziękować Isolde Sauer, Kyoko Watanabe, Stevenowi Mearsowi, Yonie Deshommes, Kimberley Goldstein, Danie Sloan, Jimowi Thielowi, Michaelowi Kwanowi i wszystkim innym osobom z wydawnictwa Simon & Schuster, które tak pilnie pracowały nad tą książką.

Moja agentka Esther Newberg – to nasza piąta książka razem – stanęła na wysokości zadania, czego zresztą byłem pewien.

Reżyser, producenci, aktorzy i aktorki znosili moją obecność na planie *Kamerdynera* w Nowym Orleanie, za co zawsze będę im wdzięczny. Tak naprawdę wszystko zaczęło się od telefonu Laury Ziskin, legendarnej producentki, której ta książka została zadedykowana. Ziskin dążyła z zacięłą determinacją do adaptacji, a następnie sfilmowania mojej opowieści. Nie dożyła rozpoczęcia zdjęć, ale jej duch prowadził wszystkich. Pam Williams, współpracowniczka Laury Ziskin i producentka *Kamerdynera* – której nieskończonej życzliwości nigdy nie zapomnę – dowiodła mi, że istnieją święci w Hollywood. Lee Daniels, reżyser *Kamerdynera*, zyskał moją nieprzemijającą wdzięczność za to, że pozwolił mi obserwować geniusza przy pracy. Za poświęcenie mi czasu na rozmowę o tym filmie dziękuję też Sheili Johnson, Julii Barry, Davidowi Oyelowo, Forestowi Whitakerowi, Evanowi Arnoldowi, Oprah Winfrey, Scottowi Varnado, Ruth Carter, Andrew Dunnowi, Cubie Goodingowi jr., Terrence'owi Howardowi, Wellingtonowi Love, Adamowi Merimsowi, Davidowi Jacobsonowi, Anne Marie Fox, Jayowi Meagherowi, Timowi Galwinowi i Kevinowi Ladsonowi. Buddy Patrick, Michael Finley, Bobby Patrick, Earl Stafford, Harry Martin, Charles Bonan, Film Partners, Magnolia-IMC oraz Icon Entertainment International na pewno zasługują na długotrwałe oklaski.

Charles Allen, jedyne dziecko Eugene'a i Helen Allenów, służył mi pomocą hojnie i na niezliczone sposoby. Lynn Peterson, Marty Anderson, Steve Reiss, Warren Tyler, Lisa Frazier Page, Mary Jo Green, Michael Coleman, Larry James, Greg Moore, Nina Henderson Moore, Katharine Weymouth, Kevin Merida, Eric Lieberman, Shirley Carswell, Harvey Weinstein i Weinstein Company oraz Tony Stigger też zasługują na moją wdzięczność.

## O AUTORACH

**Wil Haygood** jest nagradzonym publicystą „Washington Post”. Członek Fundacji Guggenheima i National Endowment for the Humanities, napisał pięć książek niebeletrystycznych, między innymi cieszące się uznaniem biografie Adama Clayтона Powella jr., Sammy’ego Davisa jr. i Sugara Raya Robinsona. W 2013 roku otrzymał Nagrodę im. Elli Baker przyznaną przez Literacką Fundację Zory Neale Hurston i Richarda Wrighta oraz otrzymał honorowy doktorat w dziedzinie literatury na Uniwersytecie Miami w Oxford, w stanie Ohio. Urodzony w Columbus, w Ohio, Haygood mieszka w Waszyngtonie, gdzie w 2008 roku poznał kamerdynera z Białego Domu Eugene’a Allena. Haygood jest współproducentem filmu *Kamerdyner*.

**Lee Daniels** jest prawdopodobnie najlepiej znany ze swojego filmu *Hej, skarbie*, który otrzymał sześć nominacji do Oscara, w tym za najlepszy film i najlepszą reżyserię, oraz nagrodę dla najlepszej aktorki drugoplanowej i za adaptowany scenariusz. Daniels wyprodukował też oscarowy obraz *Czekając na wyrok* oraz wyreżyserował filmy *Zawód zabójca* i *Pokusa*.

